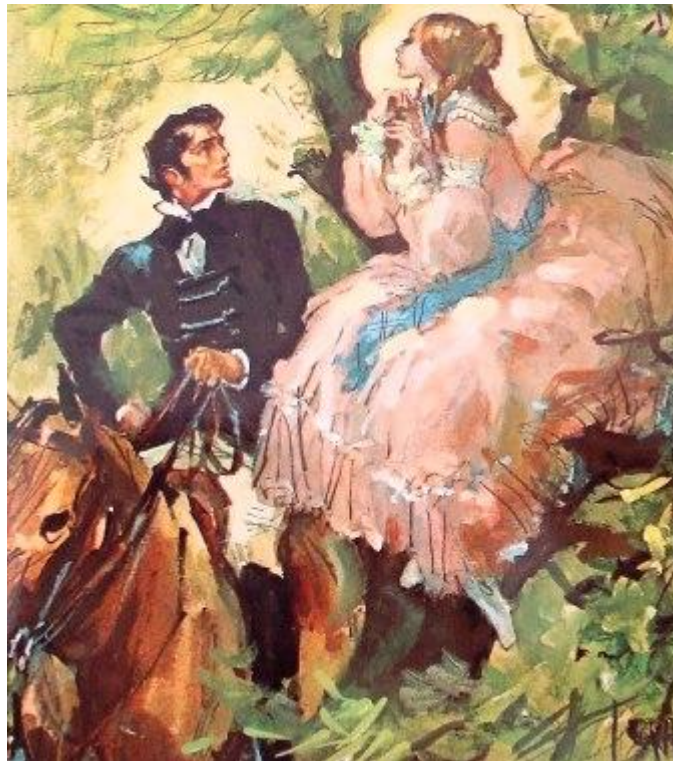


# Barbara Cartland

## Gwiazdka z nieba

A runaway star



## Od Autorki

Za panowania królowej Wiktorii jej życie było sześciokrotnie zagrożone. Dwudziestego dziewiątego maja tysiąc osiemset czterdziestego drugiego roku, jak sama napisała, "mały ogorzały mężczyzna o podejrzanym wyglądzie mierzył do mnie z odległości dwóch metrów z pistoletu, który na szczęście nie wystrzelił". Mężczyzny nie ujęto; zdołał zniknąć w tłumie. Królowa była przekonana, że ów człowiek powtórzy próbę zamachu, i nie mogła znieść obawy przed grożącym jej niebezpieczeństwem.

Następnego dnia, nic nie mówiąc dworzanom, królewska para przejechała dokładnie tą samą trasą co poprzednio. Troskliwa królowa nie zabrała ze sobą nawet swej damy dworu, lady Portman. „Muszę narażać życie moich panów, ale nie będę narażać życia moich dam” - stwierdziła.

Mężczyzna wycelował ponownie, z odległości około czterech i pół metra. Skazano go na śmierć, lecz pierwszego lipca darowano mu karę, ponieważ... pistolet nie był naładowany.

Dwa dni później kaleki chłopiec, mający zaledwie sto dwadzieścia centymetrów wzrostu, podjął kolejną próbę zamachu. Na szczęście jego pistolet był naładowany głównie papierem i tytoniem, niewiele zaś było w nim prochu.

W grudniu tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego roku niezbyt rozgarnięty młodzieniec, chcąc zastraszyć królową i w ten sposób zmusić ją do uwolnienia więźniów należących do ruchu Fenian (Fenianie - tajna irlandzka organizacja, założona około tysiąc osiemset pięćdziesiątego ósmego roku w Paryżu, której celem było odzyskanie przez Irlandie niepodległości w drodze walki zbrojnej (przyp. tłum.)), dokonał szóstej próby zamachu. Ujął go John Brown, szkocki giermek królowej, za co jej wysokość nagrodziła go publicznymi podziękowaniami, złotym medalem oraz

dwudziestoma pięcioma funtami rocznej pensji. „Trzęsłam się cała i czułam, jak przebiegł mnie dreszcz” - wyznała poruszona monarchini.

## ROZDZIAŁ 1

1842

Millet włożył zielony rypсовy fartuch i zasiadł w kredensie za stołem, na którym uprzednio poukładał srebrną zastawę. Tę porę nocy, gdy jego pomocnicy już spali i mógł wreszcie być sam, lubił najbardziej.

Był mistrzem w czyszczeniu srebra. Polerował je za pomocą kciuka, w sposób, którego nauczono go, kiedy był jeszcze pomocnikiem. Udoskonalał i dopracowywał tę technikę przez całe życie, aż każda sztuka srebra, która przeszła przez jego ręce, lśniła tak, że odbijało się w niej wszystko, co znajdowało się na stole w jadalni.

Tego wieczoru Millet zgotował sobie prawdziwą ucztę duchową: z ogromnego sejfu o rozmiarach małego pokoju wyjął srebrny kielich z kryształową czaszą; cudowne naczynie, które - kiedy zobaczył je po raz pierwszy - zaparło mu dech w piersi.

Był pewny, że kielich, zaprojektowany przez sir Martina Bowesa w tysiąc pięćset pięćdziesiątym czwartym roku, od wielu już lat nie oglądał światła dziennego. Choć owinięty w zielony rypс, puchar zdecydowanie wymagał polerowania i Millet przesunął po nim dłonią w sposób, w jaki mężczyzna pieści ciało ukochanej kobiety.

W rzeczy samej, ten stary człowiek prawdziwie kochał srebro i o mało serce mu nie pękło, gdy musiał opuścić kolekcję hrabiego Sheringhama, którą czyścił i podziwiał prawie przez trzydzieści lat.

Ale teraz nie chciał o tym pamiętać. Pragnął skoncentrować całe swe uwielbienie dla srebra na skarbach, które bezustannie wydobywał z głębi sejfu w nowym miejscu pracy. W głębi duszy wiedział, że wkrótce zawładną jego umysłem i będzie o nich myślał bez przerwy, dniem i nocą.

Srebrny kielich, ozdobiony roślinnym ornamentem u góry i wokół podstawki, z boginią miłosierdzia wieńczącą całość, stanowił najwspanialszy przykład sztuki złotniczej, jaki Millet kiedykolwiek widział.

Kciuk aż go swędził, tak spieszo mu było do pracy. Mieszał biały środek czyszczący dopóty, dopóki nie stał się tak klarowny jak mleko. Następnie wziął ze stołu czysty kawałek płótna.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi i Millet gniewnie uniósł głowę.

Wyglądał bardzo dystyngowanie i młodszy spośród służby śmiali się z niego, nazywając go biskupem.

- Kto tam? - zapytał głosem, przez który bynajmniej nie przebijała chrześcijańska miłość bliźniego.

Zupełnie jakby to pytanie było zaproszeniem do wejścia, drzwi się uchyliły i do środka wsunął głowę nocny strażnik, równie stary jak Millet.

- Ach! To ty! - powiedział niezbyt uprzejmie Millet. - Cóż, jestem zajęty. Nie mam dziś wieczór czasu na pogaduszki.

- Macie gościa, panie Millet.

- Gościa? - spytał starzec wciąż jeszcze poirytowanym głosem. Jeśli czegoś naprawdę nie znosił, to kiedy nie dawano mu skoncentrować się na czyszczeniu sreber.

Zanim jednak zdążył zapytać, kto u licha ma czelność odwiedzać go o tej porze, drobna figurka przepchnęła się obok strażnika i weszła do kredensu. Millet patrzył na nią w osłupieniu. Była to kobieta. Jej twarz kryła woalka, toteż nie potrafił zgadnąć, kim była i dlaczego chciała się z nim zobaczyć.

Kiedy strażnik zamknął za sobą drzwi, nieznajoma odrzuciła woalkę do tyłu. Millet wydał okrzyk i zerwał się na równe nogi.

- Panienska!

- Dziwisz się, widząc mnie, Mitty? - odezwał się młody głos. - Wiem, jest już późno, ale byłam pewna, że jeszcze nie śpisz.

- Nie śpię, panienko. Ale panienska nie powinna wychodzić o tej porze. - Mówiąc to, Millet wziął z kąta krzesło, oczyścił je z kurzu rąbkiem fartucha i postawił obok gościa.

- Niechże panienska siądzie - powiedział. Dziewczyna - nie można jej bowiem było jeszcze nazwać dojrzałą kobietą - zrobiła, jak prosił. Najpierw jednak rozpięła pelerynę, narzuconą na aksamitny kostium do konnej jazdy, i zdjęła z głowy kapelusz. Położyła go na stole obok sreber. Uporządkowała dłońmi włosy.

Wydawało się, że słońce zajrzało do ciemnego pomieszczenia. Światło lampy olejnej padło na jej złote loki i rozbłysło w ogromnych, pełnych wyrazu oczach.

To były dziwne oczy - bladoniebieskie, przypominające barwą jaja drozda. Rzęsy, wywinięte ku górze jak u dziecka, były ciemne na końcach, co nadawało jej dziewczęcy, wiosenny wygląd.

Patrząc na nią, czuło się, że nigdy nie dotknęły jej - i nigdy nie powinny dotknąć - ludzkie problemy i kłopoty.

- Chyba nie przyjechała tu panienska sama? - zapytał Millet.

Zdjawszy wierzchnie okrycie, odwróciła się ku niemu z uśmiechem.

- Przyjechałam na Cezarze. Stoi na zewnątrz, przywiązany do słupa.

- Sama! Na Cezarze, panienko! Dobrze panienska wie, że nie podobałoby się to jego lordowskiej mości!

- Wiele spośród rzeczy, które robię, nie spodobałoby się jego lordowskiej mości, wobec czego jedna więcej nie ma żadnego znaczenia!

W jej głosie pobrzmiwało coś, czego Millet nigdy przedtem nie słyszał. Spojrzał na nią z obawą. Jednocześnie pomyślał, że jego lordowska mość mądrze by zrobił, bardziej się troszcząc o córkę tak piękną jak lady Gracila. Ale podczas długich lat trudnej służby na dworach nauczył się, że pracodawca ma zawsze słuszność, wykonywał więc swoje obowiązki w milczeniu.

Wiedział, że lady Gracila sama wyjaśni mu, dlaczego odwiedza go o tak późnej porze, zamiast spać w swoim pokoju na drugim piętrze zamku Sheringham.

- Usiądź, Mitty - powiedziała młoda dama, używając przezwiska, które nadała mu, będąc jeszcze dzieckiem.

Jej słowa przywołały tyle szczęśliwych wspomnień, że stary Millet o mało nie zapłakał z tęsknoty za dawnymi dniami, które minęły bezpowrotnie.

- Mam usiąść, panienko? - spytał zdziwiony.

- Och, Mitty! Przestań być taki sztywny i pełen szacunku. Potrzebuję twojej pomocy jak wtedy, kiedy umarła mama, a ty jeden mnie pocieszałeś.

Głos lady Gracili lekko drżał.

Millet usiadł, patrząc na nią niespokojnym wzrokiem. Zdawało mu się, że wygląda trochę blado i nie tak radośnie, jak by sobie tego życzył.

- Co panienkę gnębi? - zapytał ze współczuciem, w sposób, w jaki zawsze potrafił nakłonić ją do zwierzeń - nawet wtedy, gdy ledwie sięgała mu do kolan.

Dziewczyna westchnęła.

- Uciekłam z domu, Mitty.

- Ależ panienka nie mogła tego zrobić! - wykrzyknął Millet. - Za kilka dni ma się odbyć panienki ślub!

Widziała, że stary majordomus jest zaskoczony, po chwili więc zaczęła mówić dalej:

- Czekałam, aż wszyscy pójdą spać. Potem zostawiłam na poduszce list do papy i wykradłam się tylnymi schodami. Cezar przyszedł na moje gwizdnicie. Założyłam mu uzdę i siodło, no i przyjechałam tutaj.

- Ależ, panienko... - nie dane mu było dokończyć, gdyż lady Gracila znów podjęła swą opowieść:

- Nie mam zamiaru wracać, ale miałam dość rozumu, by nie uciekać z pustymi rękami. Zabrałam część moich najlepszych sukien. Są na grzbiecie Cezara, a inne niezbędne rzeczy znajdują się w płóciennej torbie przytroczonej do siodła.

Millet patrzył na nią z otwartymi ze zdziwienia ustami.

- Ależ panienko, panienska nie może tutaj zostać.

- Muszę, Mitty. Nic nie rozumiesz. To jedyne miejsce, w którym nigdy nie będą mnie szukać. Nawet im to nie przyjdzie do głowy.

Zaśmiała się, lecz w jej śmiechu nie było wesołości.

- Papie przez myśl by nie przeszło, że stać mnie na coś tak naganego jak przyjazd do Barons' Hall!

- Ale, panienko... - znów zaczął Millet.

- Wiem, że masz zamiar się ze mną kłócić, Mitty - powiedziała lady Gracila. - Zanim jednak zaczniesz, proszę, przynieś moje suknie i inne rzeczy, które zostawiłam na grzbiecie Cezara. To wszystko, co mam, nie chciałabym więc, by je zrzucił i zniszczył.

Millet otworzył usta, żeby zaprotestować, lecz dziewczyna już go zjednała, mówiąc przymilnym głosem, któremu trudno było się oprzeć:

- Proszę, Mitty. Proszę, kochany Mitty, zrób, jak mówię.

Z ciężkim westchnieniem opuścił kredens, zamykając. Kiedy wyszedł, lady Gracila ukryła twarz w dłoniach.



Muszę tu... zostać - powiedziała do siebie. - Gdzież indziej miałabym się udać, by mnie nie... znaleźli? Poza tym mam... bardzo mało pieniędzy.

Przed opuszczeniem zamku zastanawiała się, jak zdobyć trochę pieniędzy. Nigdy dotychczas nie było powodu, aby miała przy sobie więcej niż suwerena i kilka szylingów na datki w kościele. Zabrała więc ze sobą te spośród klejnotów matki, których nie przechowywano w sejfie. Pozostałych nie mogła wziąć, gdyż nowy majordomus był zupełnie inny niż stary, kochany Mitty i na pewno nie zgodziłby się ich wydać bez uprzedniej zgody jej ojca.

Starła się być praktyczna, pomyśleć o wszystkim, zanim opuściła dom. Mocne przekonanie, że powinna uciec i że nigdy... nigdy nie może zostać żoną księcia, ponaglało ją, zmuszało do szybkiego działania.

Teraz, patrząc wstecz, widziała, jak była głupiutka i naiwna, dając się namówić na przyjęcie jego oświadczyn.

Wszystko to było sprawką jej macochy. Gracila musiała przyznać, że bardzo sprytnie i bez większych sprzeciwów z jej strony kobieta ta osiągnęła swój cel. Była to przebiegła, inteligentna osoba i dziewczyna zrozumiała, że w porównaniu z nią ona sama jest tylko niedoświadczonym, naiwnym dzieckiem.

Gracilę wybrał książę Radstock i poinformowano ją, że ma zostać jego żoną. To wydawało się tak ekscytujące. Dla wszystkich panien, które znała, miejsce u boku księcia byłoby szczytem ich ambicji. Był on bowiem nie tylko jednym z najważniejszych i najbogatszych ludzi w hrabstwie, ale także uprawiał sporty, a jego konie wyścigowe niosły książęce barwy ku zwycięstwu prawie w każdym wyścigu.

- Brylanty Radstocków są wspaniałe, piękniejsze niż królowej - zapewniała macocha.

Wymawiała te słowa z zachwytem, lecz w jej głosie słychać było zazdrość, której nie potrafiła ukryć.

- Będiesz nosiła dziedziczny tytuł damy dworu - ciągnęła dalej. - Będiesz na każdym oficjalnym balu. Podobno królowa ma szczególną słabość do księcia, ale przecież powszechnie wiadomo, że jej wysokość uwielbia przystojnych mężczyzn!

To wszystko było nad wyraz kuszące.

Gracila kochała konie, a mieszkając w ogromnym zamku, nie czuła się onieśmielona opowieściami o wielkim dworze księcia, pełnym skarbów zbieranych przez stulecia. Wprawdzie poczuła się rozczarowana, gdy konkurent udał się wprost do jej ojca, zamiast najpierw upewnić się co do uczuć wybranki, ale wytłumaczyła sobie, że zapewne nawet przez myśl mu nie przeszło, iż mógłby się spotkać z odmową. Był przecież niewątpliwie najlepszą partią na całych Wyspach Brytyjskich.

Macocha ledwie napomknęła, że ksiązę był już raz żonaty. Jego żona nie żyła, nie było więc sensu myśleć o przeszłości ani o wieku narzeczonego, który mógłby być ojcem Gracili.

W wyobraźni dziewczyna już siebie widziała w roli księżnej i wcale nie myślała o księciu jak o mężczyźnie, o przyszłym mężu. Wydawał jej się jakby mglistym zjawiskiem, niczym jakiś mityczny heros z przeszłości. A legendarni bohaterowie zawsze byli dla niej bardziej realni niż ludzie spotykani w życiu.

Będąc dużo młodszą od swych przyrodnych braci, a co za tym idzie - o wiele bardziej samotną, Gracila znalazła towarzyszy w książkach, które czytała z ogromną zachłannością.

Nianie i guwernantki stale ją ostrzegały, że zepsuje sobie wzrok.

- Czytaj! Czytaj! - często powtarzała jej niania. - A będziesz ślepa jak kret, zanim dożyjesz mojego wieku. Zapamiętaj te słowa!

Ale Gracila nie słuchała. Książki oddziaływały na jej wyobraźnię. Unosiły ją w świat baśni, gdzie panowały piękno i szczęście. I nie było tam niesympatycznych kobiet o ostrych głosach, które mogłyby ją zranić, takich jak jej macocha.

Nie chodziło jedynie o to, że nowa hrabina Sheringham zajęła w domu miejsce jej matki; ani o to, że Gracila była zazdrosna o miłość ojca. Po prostu Daisy Sheringham nie była dobrą kobietą. Gracila wyczuwała to instynktownie.

Nie potrafiła dokładnie wyjaśnić sobie, co podpowiadał jej instynkt. Jednego była pewna: choćby nie wiedzieć jak bardzo starała się zwalczyć to uczucie, wewnątrz wzdrygała się przed każdym spotkaniem z macochą.

Powinna była od razu powziąć podejrzenia, kiedy lady Daisy oznajmiła jej, że ma wyjść za księcia Radstocka.

Byłam ślepa... całkiem ślepa... jak kocię, które nie otworzyło jeszcze oczu - myślała Gracila.

Dlatego - mówiła sobie - szok był tym większy. Wciąż czuła się słabo, jak dzisiejszego popołudnia, gdy poznała prawdę.

Księżę przyjechał do zamku, by poczynić końcowe przygotowania do ich ślubu.

Dotychczas Gracila widywała go bardzo rzadko. Prawdę mówiąc, zgodnie ze zwyczajem, jako młodej panience nie pozwalano jej zostawać z nim sam na sam, z wyjątkiem kilku minut, kiedy ojciec wezwał ją do czerwonego salonu, gdzie zastała go z księciem.

Gracila nawet nie wiedziała, że mężczyzna, którego ma poślubić, przebywa w zamku. Była więc nie tylko zaskoczona jego obecnością, ale i onieśmielona, gdy idąc przez pokój,

czuła na sobie jego wzrok. Dygnęła grzecznie, lecz była zbyt zakłopotana, by spojrzeć na niego.

- Twoja macocha powiedziała ci już zapewne, Gracilo - odezwał się ojciec - że księżę uczynił ci zaszczyt i poprosił o twą rękę. Chciałby porozmawiać z tobą przez chwilę, wobec czego zostawiani was teraz samych.

Mówiąc to hrabia wyszedł z pokoju, a ona stała w bezruchu z bijącym sercem i ze spuszczonej oczami.

- Na pewno będziemy ze sobą szczęśliwi, Gracilo - odezwał się księżę. - I mam nadzieję, że spodoba ci się pierścionek, który dla ciebie przywiozłem.

Ujął jej lewą dłoń i wsunął na palec ogromny brylantowy pierścień.

- Dziękuję... Jest... jest doprawdy... uroczy - wykrztusiła z trudem.

- Był w mojej rodzinie prawie pięćset lat - wyjaśnił księżę. - Jest jeszcze naszyjnik i tiara, które będziesz mogła nosić po naszym ślubie.

- Będzie mi... bardzo miło.

Księżę nie odzywał się, więc zaskoczona ciszą, Gracila podniosła na niego wzrok.

Patrzył na nią w dziwny sposób, jakby szukał w niej czegoś. Nie miała jednak pojęcia, co to mogło być. Potem stwierdził z uśmiechem:

- Jesteś bardzo piękna, Gracilo. Z pewnością okrzykną cię jedną z najpiękniejszych księżnych Radstock, a było ich wiele.

- Dziękuję - odpowiedziała z prostotą.

W jej głosie było więcej ciepła niż poprzednio; zastanawiała się, czy księżę ją pocałuje. Zamiast tego uniósł jej dłoń do ust. W tej właśnie chwili do pokoju wrócił hrabia.

Później starała się odtworzyć, co naprawdę myślała o księciu.

Był przystojny, ale jego cera była cerą starego człowieka. Jego włosy posiwiały na skroniach, a sylwetka nie była już tak wysmukła jak u młodego mężczyzny.

Czy chcę, żeby mnie pocałował? - pytała samą siebie.

Dziwiło ją, że nie miała na ten temat zdania. Nikt nigdy jej nie całował, lecz wyobrażała sobie pocałunek, będący wyrazem miłości, jako coś cudownego.

Jak to jest? Co się wówczas odczuwa?

W różnego rodzaju książkach, które czytała, zwłaszcza tych napisanych we Francji, miłość przedstawiano jako głębokie namiętne uczucie; jako uniesienie dające tym, którzy je przeżywali, siłę do dokonywania najśmielszych czynów, osiągnięcia niemożliwego, nawet do poświęcenia własnego życia.

Czy mogłabym czuć coś takiego do księcia? - zastanawiała się Gracila.

Ale kiedy rankiem następnego dnia jej narzeczony opuszczał zamek, ona nadal nie знаła odpowiedzi na te pytania. Gdy jednak powrócił na tydzień przed ślubem, z całą determinacją postanowiła poznać go lepiej.

Podczas przymiarek sukni ślubnej, które pochłaniały jej prawie cały dzień, Gracila oddawała się rozmyślaniom. Z trudem mogła się skoncentrować na prezentach, napływających do zamku w ogromnych ilościach, na setkach listów gratulacyjnych i bezustannej gadaninie macochy o jej przyszłym szczęściu.

Małżeństwo było celem, do którego ją popychano, odkąd tylko opuściła pokój dziecinny i rozpoczęła naukę.

- Musisz więcej uwagi poświęcać arytmetyce - mówiła ostrym głosem guwernantka. - W przeciwnym razie co będzie, kiedy mąż się dowie, że nie potrafisz prawidłowo prowadzić rachunków domowych?

- Poczekaj, aż wyjdiesz za mąż i będziesz miała własne dzieci, wtedy zrozumiesz - zwykła pouczać ją niania, kiedy Gracila kwestionowała niektóre z zasad obowiązujących w pokoju dzieciennym.

Wszyscy mówili tylko o tym: niania, która pozostała, choć przyjęto guwernantkę; sama guwernantka, która najwyraźniej miała przygotować ją do dorosłego życia; wreszcie macocha, która bez przerwy wynajdywała usterki w jej wyglądzie.

- Nigdy nie uda mi się znaleźć dla ciebie męża, Gracilo, jeśli będziesz wyglądała jak Cyganka!

- Mężczyźni nie znoszą zbyt mądrych kobiet i nie żenią się z nimi! Przestań więc czytać, idź na górę i znajdź sobie coś do szycia!

Wszystko, co do niej mówiono, wiązało się z mężczyzną, którego miała kiedyś poślubić. Gracila wyobrażała sobie, że kiedy wreszcie się on zjawi, będzie to wspaniały, szlachetny rycerz niczym sir Galahad, lubiący przygody jak Ulisses i zniewalająco przystojny jak lord Byron, którego wiersze czytała w tajemnicy przed guwernantką, podobnie jak wiele innych książek, zagrożonych konfiskatą w razie gdyby ktoś przyłapał ją na ich lekturze.

Czy książkę jest podobny do któregoś z nich? - zastanawiała się.

Ponieważ czuła, że musi znaleźć jakiś wzór, do którego mogłaby go porównać, zakradła się na dół do biblioteki, by wziąć z półki Zbiór wierszy lorda Byrona. Wiedziała aż nazbyt dobrze, że jeśli ktoś przyłapie ją na czytaniu o tej porze, natychmiast każe jej zająć się czym innym.

W bibliotece miała swoje ulubione miejsce. Na końcu ogromnej sali, zaprojektowanej przez Roberta Adama, znajdowało się duże witrażowe okno z ornamentem w kształcie herbu rodziny Sheringham. Wiszące w nim aksamitne czerwone zasłony nie przylegały do ściany, dzięki

czemu między nimi a oknem utworzyła się idealna kryjówka, niewidoczna dla tych, którzy wchodzili do pokoju.

Szeroka ława pod oknem również była pokryta czerwonym aksamitem, Gracila mogła więc wkulić się w kąć, z poduszką podłożoną pod plecy, i z radością otworzyć oprawioną w skórę książkę. Zaczęła od Don Juana:

Miłość i dworem rządzi, obozem i gajem, Bo raj miłością jest, a miłość rajem.

Czy książkę potrafiłby sprawić, bym to czuła? - zastanawiała się. Następnie, przerażona własną odpowiedzią, szybko przewróciła stronę, chcąc przeczytać swój ulubiony wers z Wizji Sądu:

Anioły wszystkie zgodnie fałszowały, Ochrypty, nic nie mając więcej do zrobienia Prócz w ruch wprawiania Słońca i Księżyca I zbiegłych gwiazdek z drogi zawrócenia.

Uśmiechnęła się. Obraz odmalowany w wierszu zawsze ją śmieszył. I wtedy sprowadziły ją na ziemię głosy dwojga ludzi rozmawiających w drugim końcu biblioteki.

Pochłonięta czytaniem wierszy, nie słyszała, jak weszli, a teraz po głosach rozpoznała swoją macochę i księcia.

Wątpliwe, by mnie tu odkryli - pomyślała ze spokojem.

Czytała dalej, nie mając ochoty słuchać tego, co mówili. Dopiero gdy usłyszała swoje imię, uniosła głowę.

- Gracila jest taka młoda, tak niewinna i niedoświadczona, że nie będzie niczego podejrzewać, jeśli nie dowie się od kogoś - zauważyła macocha.

Dziewczyna zastanowiła się, czegoż to miałyby nie podejrzewać.

- Nie sądzę, by ktoś jej powiedział - odparł książkę. - Młodość i niewinność stanowią dla nas ochronę samą w sobie.

- Z całą pewnością masz rację. Cudownie będzie widywać cię bez żadnych przeszkód. Będziemy mogli przebywać u ciebie, a ty będziesz mógł przyjeżdżać tutaj.

Hrabina westchnęła głośno i dodała:

- Ach, najdroższy! Te wszystkie lata bez ciebie były dla mnie piekłem!

Gracila zamarła w napięciu. Czy naprawdę jej macocha wypowiedziała te słowa tonem, którego nigdy przedtem u niej nie słyszała?

- Musimy być bardzo ostrożni - stwierdził książę.

- Oczywiście! - wykrzyknęła hrabina - Ale dziś w nocy, kochany, będziemy bezpieczni, zapewniam cię.

- Tutaj? Kiedy George jest w domu?

- Jest przeziębiony i śpi w swoim pokoju. Przyjdę do ciebie i... Och, Andrew, gdybyś tylko wiedział, jak bardzo cię potrzebuję!

- Moja biedna Daisy, nie mogliśmy przecież ciągnąć tego dalej, a nie sposób było przewidzieć, że Elsie umrze w pół roku po twoim ślubie.

- Los nam nie sprzyjał - odrzekła płaczliwym głosem hrabina - ale teraz znów będę cię widywała! Nigdy nie było mężczyzny równie przystojnego i pociągającego jak ty.

Zamilkła na chwilę, po czym ściszyła głos i z namiętnością dodała:

- Nikt! Nikt na całym świecie nie mógłby być wspanialszym kochankiem!

Gracila poczuła się tak, jakby ktoś zamienił ją w kamień.

Potem nastąpiła cisza; domyśliła się, że książę całuje jej macochę. W chwilę później usłyszała, jak drzwi biblioteki się zamykają. Została sama.

Musiała stawić czoło okrutnej prawdzie: książę był kochankiem macochy, jeszcze zanim poślubiła ona jej ojca.

Od kiedy hrabia ożenił się ponownie, Gracila zawsze widziała w Daisy jedynie jego żonę. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że nowa lady Sheringham może wzbudzać pożądanie jako kobieta. Czytywała wprawdzie, głównie we francuskich



książkach, o paniach w średnim wieku, które desperacko i zazwyczaj z tragicznym skutkiem szukały miłości, ale nie wyobrażała sobie, by coś takiego przydarzyło się w jej własnym domu.

Ojciec był człowiekiem raczej surowym, a ponieważ Gracila była najmłodszym dzieckiem w rodzinie, zawsze wydawał jej się bardzo stary, nawet kiedy była jeszcze mała.

Matka kochała go i była z nim szczęśliwa, ale hrabia traktował lady Elizabeth, swoją drugą, dużo młodszą od siebie żonę, trochę jak dziecko, którym należy się opiekować i które można rozpieszczać.

Po urodzeniu Gracili hrabina nigdy już nie odzyskała sił, lecz wyglądała zaskakująco młodo, czasami prawie tak jak jej jedyna córka.

Dopiero kiedy umarła, Gracila zrozumiała, jak wspaniałą była towarzyszką, i jak zagubiona i samotna jest bez niej.

Właśnie wtedy hrabia uległ czarowi bardzo zdecydowanej i inteligentnej kobiety. Daisy dała mu to wszystko, czego, pomimo jego podeszłego wieku, podświadomie brakowało mu w słodkiej, łagodnej i dziecinnej Elizabeth.

Teraz Gracila pojęła, dlaczego instynktownie nie ufała macosze i dlaczego tak często w jej słowach wyczuwała fałszywe tony.

Gdy w końcu wyszła ze swojej kryjówki w bibliotece, miała wrażenie, że jej członki całkiem zeszywniały i że bardzo się postarzała od chwili, kiedy sięgnęła po wiersze Byrona. Odłożyła książkę na półkę.

Patrząc na miejsce, gdzie, jak sądziła, jej macocha i książe się całowali, myślała, że nigdy, ale to nigdy nie zgodzi się poślubić człowieka, który jej nie kocha.

Jak mogli tak postąpić? - pytała samą siebie, drżąc na całym ciele pod wpływem doznanego szoku.

Poszła na górę do swojej sypialni, a ponieważ nie chciała, by ktokolwiek domyślił się, co czuje, jak zwykle przebrała się przed kolacją i zeszła na dół.

Obserwując macochę i księcia, miała wrażenie, jakby na scenie zdemaskowano właśnie obrzydliwy spisek, a ona była jedyną osobą na widowni.

Jej ojciec był czarujący; grał rolę gospodarza z werwą świadcząca o tym, jak bardzo się cieszy z przyszłego, tak ważnego, zięcia.

Gdyby tylko wiedział! - pomyślała Gracila.

Po raz pierwszy patrzyła na macochę nie jak na kogoś, kto ma nad nią władzę, lecz jak na niemoralną kobietę. Zauważyła jej wdzięki, choć nienawidziła jej za afiszowanie się nimi.

Bacznie obserwując, dostrzegła, że w sposobie, w jaki hrabina mówi, porusza białymi ramionami, w wyrazie jej oczu jest coś, co zdradza jej tajemnicę. Ale to było widoczne tylko dla kogoś, kto miał klucz do tej zagadki, kto znał plan labiryntu.

Na górze zastanawiała się, co mogłaby zrobić, by uchronić się przed małżeństwem, które teraz stało się dla niej zbyt odrażające, by nawet o nim myśleć, i zrozumiała, że jedynym wyjściem jest ucieczka.

Jakże zraniłaby ojca, wyjawiając mu prawdę, a przecież nikt nie liczyłby się z jej zdaniem, gdyby tego nie ujawniła. Jej protesty i zapewnienia, że nie chce wyjść za męża, złożono by na karb panińskiej wstydlivosti i nerwów. Wszelkie obiekcje, nie poparte racjonalnymi argumentami, zignorowano by i niewątpliwie znalazłaby się w kościele u boku mężczyzny, który interesował się nią tylko dlatego, że miała mu ułatwić miłosne schadzki z jej macochą.

Wiedząc, co planowali robić tej nocy, Gracila nie mogła pozostać w zamku. Chociaż spała piętro wyżej niż lady Daisy i w innym skrzydle zamku, czuła, że nasłuchiwałyby kroków

macochy, skradającej się ciemnymi korytarzami do pokoju swego kochanka.

Muszę uciec! Muszę zniknąć - zdecydowała.

Jedyna trudność polegała na tym, dokąd się udać. Nikt z krewnych nie udzieliłby jej schronienia. Byliby oburzeni, że śmiała porzucić kogoś tak ważnego jak księżę, i to tuż przed ślubem. Jej przyjaciele zaliczali się do tej samej kategorii.

Pomyślała, jak wściekłe będą jej drużyny, które macocha wybrała spośród najznamienitszych rodów w hrabstwie, i wzdrygnęła się. Wszystkie zamówiły kosztowne suknie, kwiaty na bukiety. Prezenty dla druzhen, brosze w kształcie połączonych inicjałów Gracila i księcia, już przywieziono do zamku.

Po ceremonii wieśniacy mieli się bawić w ogromnej stodole, gdzie zwieziono beczki piwa i przybrano stoły, przy których mieli zasiąść do uczyty weselnej.

Jak można było to wszystko odwołać? A jednak trzeba to zrobić.

Tylko w jeden sposób mogła uniknąć zaślubin: uciekając. Jeżeli nie będzie narzeczonej, cała maszyna, wprawiona z tego powodu w ruch, po prostu się zatrzyma.

Przez cały obiad Gracila zadawała sobie to samo pytanie: Dokąd się udać?

Jej drugie ja obserwowało uśmiechnięte usta macochy, uchwyciło w przelocie coś bardzo nieprzyjemnego w spojrzeniu księcia, słyszało ojca monotonnie rozprawiającego o sytuacji politycznej.

- Szampana, panienko?

Nuta zniecierpliwienia w głosie lokaja uświadomiła jej, że już wcześniej proponował jej swe usługi.

Wtedy nagle przypomniała sobie: Millet!

To macocha odesłała starego majordomusa, ponieważ go nie lubiła. Twierdziła, że nie wywiązywał się należycie ze swoich obowiązków.

Millet zawsze stanowił część rodziny i było nie do pomyślenia zwolnienie go po trzydziestu latach pracy w zamku. Macocha wołała jednak służbę lojalną wobec niej, a nie wobec hrabiego.

Teraz Gracila zastanawiała się, czy nie było przypadkiem jeszcze innego powodu odprawienia Milleta.

Służba zawsze wiedziała za dużo; służba plotkowała! Tych, których hrabina zatrudniła sama, nie szokowałyby nic, co robiła, i z całą pewnością nigdy by jej nie zdradzili.

Myśl o Millecie była dla Gracili niczym lina rzucona na pomoc tonącemu we wzburzonym morzu. Należał przecież do osób, które kochała najbardziej na świecie - zaraz po ojcu i matce. „Mitty” było jednym z pierwszych słów, które nauczyła się wymawiać.

Zawsze kiedy uciekła od niani, można ją było znaleźć w kredensie, siedzącą na kolanach Mitty'ego i oglądającą srebra, które wyjmował z sejfu specjalnie dla niej.

Rozpieszczał ją ogromnymi kiściami winogron świeżo przyniesionych z cieplarni; ogrodnicy nigdy nie przysyłali owoców do pokoju dziecinnego.

U Mitty'ego znajdzie schronienie - postanowiła.

Myśl o nim rozproszyła ciemności, które ogarnęły ją niczym przerażająca chmura, gdy zrozumiała, że musi opuścić zamek.

Wiedziała, dokąd się udał, kiedy ze łzami w oczach pożegnał się z nią. W swoim zwykłym ubraniu wyglądał wówczas jak wynędzniały, stary człowiek, a nie jak podobny do biskupa, wzbudzający respekt majordomus, który z godnością witał gości i pełnił służbę w jadalni.

- Co teraz zrobisz? Dokąd pójdziesz, kochany Mitty? - spytała wtedy Gracila.

Nie mogła uwierzyć, że ktoś tak jej bliski, stanowiący część jej świata, został tak łatwo wyrzucony.

- Znajdę inną posadę, panienko - odpowiedział Millet. - A na razie zatrzymam się u mojej siostry.

- U pani Hansell w Barons' Hall?

Skinął tylko głową, gdyż łzy nie pozwalały mu mówić.

- Ale przyrzeknij, że kiedy opuścisz to miejsce, podasz mi swój nowy adres.

- Przyrzekam, panienko.

- I że będziesz dbał o siebie.

- Będę myślał o panience. Zawsze..

- I ja będę myślała o tobie, najdroższy Mitty - odrzekła Gracila.

Mówiąc to, zarzuciła ramiona na szyję starca i pocałowała go, jak wówczas, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. Nie dbała o to, co ktoś mógł sobie pomyśleć lub powiedzieć. Mitty był częścią jej życia. Mitty należał do jej rodziny o wiele bardziej niż macocha.

Jej zachowanie odebrało mu głos. Wymknął się na zewnątrz, gdzie przed drzwiami kuchennymi czekała dwukółka, by zabrać jego i jego nędzny bagaż z domu, w którym spędził ponad trzydzieści lat.

- Jak mogłeś pozwolić, by macocha wyrzuciła Milleta? Właśnie jego, papo?! - spytała ojca, kiedy się o tym dowiedziała.

- Wiesz, że nigdy nie wtrącam się w sprawy domu, Gracilo - odparł chłodno hrabia.

- Ale Millet był tu przez całe moje życie. Przyszedł jako lokaj, zanim jeszcze ożeniłeś się z mamą!

- Twoja macocha uważa, że nie daje już sobie rady z wypełnianiem obowiązków - odrzekł ojciec.

- To nieprawda! - wybuchnęła Gracila. - Każdy, kto wchodzi do jadalni, wychwala nasze błyszczące srebra i w całym hrabstwie najchętniej przyjmują lokajów wyszkolonych przez Milleta! Wiesz o tym równie dobrze jak ja!

- Nie jestem przygotowany do dyskusji na ten temat, Gracilo. Wszystkie tego typu sprawy zostawiam w rękach twojej macochy.

Była to kiepska wymówka i Gracila wiedziała, że ojciec czuł się nieswojo. Bez słowa wyszła z pokoju, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi. Nie było to w jej stylu, rzadko traciła panowanie nad sobą. Za życia matki ani razu nie miała ku temu powodu.

W swoim pokoju szlochała tak rzewnie, jak nie płakała od pogrzebu matki. Wiedziała, że po odejściu Milleta będzie jeszcze bardziej samotna niż kiedykolwiek przedtem.

Dlaczego od razu o nim nie pomyślałam? - zastanawiała się. Nagle wszystko wydało się o wiele prostsze. W jakiś sposób, chociaż nie wiedziała, w jaki, Millet rozwiąże jej problem. Zawsze tak było.

Drzwi kredensu otworzyły się i wrócił Millet. Przez ramię miał przerzucone suknie Gracili, owinięte w jedwabną kape, którą dziewczyna uznała za najlepszą do ich przetransportowania. Rzeczywiście, bez najmniejszego kłopotu mogła przewiesić je przed sobą na siodle.

W drugiej ręce niósł ogromną płócienną torbę, w której służebne na zamku zazwyczaj trzymały brudne ręczniki; najpierw przechowywano je w kredensie, a gdy nagromadziło się ich dostatecznie dużo, posługacze przenosili ładunek do zamkowej pralni.

Torba była dość ciężka, ale Cezar był silnym, dzielnym koniem. Gracila tresowała go od źrebięcia. Nie zwalniając tempa ani nie tracąc wigoru, mógł unieść bagaż dziesięć razy cięższy.

Millet położył suknie na dwóch krzesłach stojących przy drzwiach pokoju, a torbę postawił obok, na podłodze. Następnie podszedł do Gracili. Wyraz jego twarzy wskazywał, że będzie miała z nim problemy.

- Przyniosłem to, panienko - powiedział łagodnym głosem - ponieważ mnie panienka prosiła. Ale jak tylko panienka odpocznie, wsadzę ją z powrotem na konia i odeślę do domu.

- Nie mam zamiaru wracać, Mitty - odrzekła Gracila. - Są... są powody... powody, których nie mogę ci wyjawić, ale przysięgam, naprawdę nie mogę poślubić księcia.

Stary sługa spojrział na nią uważnie. Znał ją od dziecka i teraz zobaczył coś, czego nie zauważył wcześniej: z wyrazu jej twarzy wyczytał, że przeżyła szok.

Zastanawiał się, co mogło się wydarzyć. Cokolwiek jednak to było, jego mała dziewczynka, którą kochał ponad wszystko w świecie, chociaż starał się tego nie okazywać, została zraniona.

To ta jej macocha! - pomyślał, a głośno powiedział:

- Jeśli chce panienka odejść z domu, to przecież może pojechać do babci. Ona zawsze panienkę kochała.

- Jak myślisz, Mitty, cóż, oprócz poślubienia księcia, mogłaby mi poradzić babcia?!

Gracila wzięła głęboki oddech. Potem wyciągnęła ku niemu dłonie, przyciągnęła go i usadowiła przy sobie.

- Słuchaj, Mitty - zaczęła, przytrzymując jego dłoń. - Wiesz, że ci ufam, i ty musisz zaufać mnie. Przysięgam, nie ma na całym świecie nikogo oprócz ciebie - ani jednej osoby - kto nie chciałby mnie teraz zmusić do powrotu i poślubienia księcia.

Millet wpatrywał się w nią, ona tymczasem kontynuowała:

- Ty mi uwierzysz, kiedy ci powiem, że wolałabym raczej umrzeć, niż wyjść za niego. To małżeństwo byłoby dla mnie zgubne. Gdyby mama żyła, powiedziałałaby ci to samo.

Chwilę zaczekała, a potem zapytała:

- Czy wierzysz mi, Mitty?

- Wierzę panience, ale jakie mamy wyjście?

- Chcę, żebyś mnie ukrył! Ukryj mnie w Barons' Hall, dopóki nie ucichnie szum wywołany moim zniknięciem i dopóki książę się z tym nie pogodzi. Nikt nawet nie pomyśli, żeby mnie tu szukać.

- Ale ja nie mogę tego zrobić, panienko!

- Dlaczego nie? - zapytała, wciąż trzymając jego dłoń.

- Bo jego lordowska mość powrócił do domu. Jest w rezydencji!

- Lord Damien?!

- Tak, panienko, przyjechał trzy dni temu!



## ROZDZIAŁ 2

Na chwilę Gracila zaniemówiła ze zdziwienia, a potem powiedziała:

- Aż trudno uwierzyć! Nie było go w domu dwanaście lat!
- To prawda, panienko.
- Czy naprawdę wrócił?
- Tak, panienko. Wrócił z Włoch.

Gracila pokiwała głową. Tego należało się spodziewać.

Przez kilka ostatnich lat zawsze znajdowali się ludzie, którzy mimochodem wspominali, że widzieli lorda Damiena w Paryżu albo w Wiedniu, ale najczęściej w Rzymie, Wenecji, Palermo, Neapolu i tysiącu innych miejsc we Włoszech, które zawsze pragnęła zobaczyć.

Ilekcroć ludzie o nim mówili, w ich głosie pobrzmiwała dziwna nuta. Gracila już dawno pojęła, że powodem tego było zgorszenie, choć jednocześnie rozmowy na jego temat zdawały się ich podniecać.

Kiedy w hrabstwie wybuchnął ten skandal, była jeszcze zbyt młoda, aby zrozumieć, co się stało, miała wtedy bowiem zaledwie sześć lat. Ale kiedy teraz spoglądała wstecz, odniosła wrażenie, że przez całe jej życie lord Damien był obiektem rozmów nie tylko dorosłych w salonie, lecz i w pomieszczeniach dla służby, a nawet w pokoju dzieciennym.

Często się zastanawiała, dlaczego dorośli rozmawiają w obecności dzieci, jakby były one niedorozwinięte.

Bardzo szybko zaczęła kojarzyć młodego dziedzica Barons' Hall z czymś tajemniczym, a zarazem podniecającym. Na początku wiedziała jedynie, że uczynił coś okropnie, straszliwie złego. Wyobrażała sobie, że dokonał morderstwa lub ukradł bezcenny skarb.

Ale z biegiem lat stopniowo zaczynała rozumieć: zbrodnia miała coś wspólnego z kobietą.

Informacji dostarczały jej zasłyszane strzępki rozmów:

- Oczywiście, zawsze był szalony, ale nie sądziłam, żeby mogło się wydarzyć coś podobnego!

- Czy można sobie wyobrazić coś równie haniebnego? Jeszcze miesiąc wcześniej usługiwała królowej Adelajdzie!

Potem Gracila słyszała:

- Kochanie, widziałam ich oboje w paryskiej operze. Wcale się nie kryli. Miała na sobie bajecznie piękne klejnoty!

- Nie ma wątpliwości, że jest szalenie pociągający, no i tak podobny do lorda Byrona, ale żeby uciekać...!

Tak więc w wyobraźni Gracili utrwaliło się, że młody mężczyzna mieszkający w Barons' Hall, zaledwie osiem kilometrów od jej domu, wygląda jak lord Byron.

Z początku nieświadomie zaczęła zbierać strzępy informacji, a potem układać je w całość jak układankę. W końcu poznała całą prawdę! Nie od matki, która nie lubiła plotkować, lecz od ojca. Stało się to po śmierci jego starego przyjaciela, lorda Damiena.

- Doprawdy, wstyd mi, że jego syn nie był obecny na pogrzebie - powiedział hrabia, rzucając z irytacją na stół przybrany czarną krepą cylinder. - Spodziewałem się, że ten młody rozpustnik wróci do domu, bez względu na to, co się wydarzyło w przeszłości.

- Podobno - odparła łagodnie matka Gracili - Virgi jest w Indiach.

- Powinien być teraz w domu i dopełnić swoich obowiązków. Takie jest moje zdanie. To doprawdy nie do zniesienia, że jeden z naszych najbliższych znajomych ma taką opinię.

Jeszcze tego wieczoru, gdy Gracila została sama z ojcem, zapytała go:

- Papo, ty i wszyscy inni mówicie... o nowym... o lordzie Damienie tak ostro. Co on takiego... zrobił?

- Pogwałcił zasady przyzwoitości w sposób, którego nie można mu wybaczyć - odparł hrabia.

- W jaki sposób, papo?

Ojciec zawahał się, jakby zastanawiał się, czy nie jest zbyt młoda, aby opowiadać jej takie rzeczy, a potem odrzekł:

- Lepiej, żebyś poznała całą prawdę, bo jeśli ja ci o tym nie powiem, prędzej czy później dowiesz się od kogoś innego.

- Ludzie wciąż plotkują... o nim, papo.

- Wcale mnie to nie dziwi!

- Cóż tak straszliwie złego uczynił?

Ojciec zawahał się, zanim szorstko odpowiedział:

- Uciekł z markizą Lynmouth!

Gracila patrzyła na niego szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. Wiedziała, jak ważnym człowiekiem był markiz. Czasem odwiedzała z rodzicami jego ogromny stary dwór, który zawsze wzbudzał w niej podziw, ale wydawał się zimny i niegościnnie.

- To znaczy... z żoną... obecnego markiza? - zapytała po chwili.

- Była od męża znacznie młodsza, a w dodatku była cudzoziemką - odparł ostro hrabia. - Nigdy nie można ufać tym cudzoziemskim kobietom, ale to nie usprawiedliwia Damiena. Zachował się jak skończony łotr.

Gracili nie udało się wyciągnąć od ojca więcej informacji, lecz teraz miała już w ręku klucz do zagadki i mogła złożyć wszystkie jej elementy w całość. Zmarły lord Damien miał jedyne syna, Virgila, straszliwie rozpieszczanego przez matkę. Był to młodzieniec bystry i pod wieloma względami utalentowany, lecz trochę zwariowany i zbyt przystojny, by w jego obecności kobiece serca mogły bić spokojnie. Nic dziwnego, że niejedna dama się w nim kochała. Markiza Lynmouth także uległa jego urokowi.

Najwyraźniej wszyscy znali miejsca ich schadzek.

Jeździli konno po lesie, gdzie - jak sądzili - nikt nie powinien ich widzieć, lub spacerowali przez zarośla, trzymając się za ręce. Naturalnie, nie umknęli bystrym oczom leśniczych, ogrodników, kobiet ze wsi i całej masy innych osób, dostarczając im tematu do plotek.

Jedynymi całkowicie nieświadomymi niczego ludźmi byli markiz i stary lord Damien. Doznali prawdziwego szoku, gdy wyszło na jaw, że lady Lynmouth uciekła z młodym Virgilem.

W całym hrabstwie zawrzało. Ludzie, plotkując, puścili w ruch języki, szeptali sobie sensacyjne wieści do ucha. Powtarzali bez końca każdy strzępek informacji, jaki udało im się zdobyć, a potem czekali z zapartym tchem, jak gdyby byli w teatrze i obserwowali wznoszącą się kurtynę, by zobaczyć, co zrobi markiz.

Nie zrobił nic!

Nie odseparował się od ludzi, lecz kontynuował swe zwykłe prace w hrabstwie, uczestniczył w zebraniach i konferencjach.

Patronował, jak przedtem, zawodom sportowym, zabawom, a także przyjęciom towarzyskim i spotkaniom poświęconym sprawom publicznym, które zwyczajowo odbywały się w jego domu.

Nie dyskutował z nikim ani nie wspominał o tym, co się wydarzyło.

Hrabia Sheringham pochwalał jego pełne dumy i godności zachowanie.

Gracila słyszała, jak mówił do matki:

- Nie podejrzewałem Lynmoutha o tyle szacunku dla samego siebie.

Rozumiała, jak bardzo musieli być zawiedzeni ci, którzy spodziewali się po nim teatralnych gestów.

- Można by pomyśleć - powiedziała do niani guwernantka Gracili - że taki dżentelmen jak markiz będzie się pojedynkował o swoją żonę.

- Może nie chce, żeby wróciła - odrzekła niania.

- Nigdy już nie będzie mógł się ożenić, jeśli się z nią nie rozwiedzie - zauważyła guwernantka pełnym zadumy i rozrzewnienia głosem.

- Moim zdaniem - oznajmiła niania - jego lordowska mość ma już dość kobiet na całe życie. I nie ma się co dziwić po tym, co przeszedł...

Gracila zauważyła pewną prawidłowość. Damy, jak jej matka i jej przyjaciółki, przypisywały całą winę markizie. Natomiast panowie uznali, że to młody Virgil zrobił z siebie głupca.

- Młody porywczy idiota! - usłyszała podniesiony głos jednego z arystokratów przybyłych na polowanie, nieświadomego jej obecności w pokoju. - Po cóż, u diaska, uciekał, kiedy mógł się cieszyć jej wdziękami, nie opuszczając domu?

Gdy dorosła, Gracili wydało się dziwne, że dziedzic Barons' Hall i tytułu lordowskiego nadal przebywa na wygnaniu. Jak się bowiem dowiedziała, markiza, z której powodu wzbudził taką sensację, po jakimś czasie odeszła od niego.

W pierwszą rocznicę śmierci jego ojca, w roku, który zawsze będzie pamiętać ze względu na ponowne małżeństwo jej ojca, w towarzystwie zaczęły krążyć nowe plotki na temat lorda Damiena.

- Ma ogromne powodzenie w Paryżu - relacjonowała któraś z licznych przyjaciółek macochy. - Widziałam go na jednym z eleganckich przyjęć, na które mnie też zaproszono. A następnego wieczoru był w teatrze z tak piękną kobietą, że mężczyźni - zamiast na scenę - patrzyli tylko na nią.

- „Zamiast na scenę, patrzyli tylko na nią!” Cóż to za kobieta? - spytała macocha Gracili.

Przyjaciółka wzruszyła ramionami.

- Jedna z grandes cocottes, jakich pełno w Paryżu. Moja droga, nigdy nie widziałaś niczego, co równałoby się ich klejnotom! Po prostu zapierają dech!

Następnie rozmowa zeszła na stroje i biżuterię, ale Gracila wywnioskowała, że najwyraźniej każdy, kto podróżował po kontynencie, widział lorda Damiena.

Kiedy się dowiedziała, że przebywa on we Włoszech, pozazdrościła mu. Jakże bardzo pragnęła znaleźć się w słonecznej Italii! Zobaczyć wspaniałe posągi i budowle, o których tyle czytała w książkach: Villa Borghese, fontannę di Trevi, Koloseum, bazylikę Świętego Piotra!

W jej wyobraźni stanowiły one odpowiednie tło dla mężczyzny, który wyglądał jak lord Byron i o którym mówiono podobnie jak o Byronie.

Czyż jej ulubiony poeta nie musiał uciekać z kraju z powodu licznych skandali, w które był zamieszany?

Tak samo było z lordem Damienem. A teraz, kiedy wszyscy dawno już przestali spodziewać się jego powrotu, niespodziewanie przyjechał!

Nagle zdała sobie sprawę, że podczas gdy wszystkie te myśli przebiegały przez jej głowę, Millet cierpliwie czekał.

- Panienska rozumie sytuację - odezwał się. - Proszę więc przyjąć moją radę, wrócić do domu i powiedzieć jego lordowskiej mości, że panienska nie chce poślubić jego książęcej wysokości. Pan hrabia z pewnością to zrozumie.

- Nie zrozumie, a ja w żadnym wypadku nie mogę mu wyjawić, dlaczego za nic... za nic na świecie nie wyjdę za mąż za księcia!

Gracila mówiła z ogromną porywcznością w głosie i nagle dostrzegła w oczach Milleta zrozumienie. On wie - pomyślała.

- Już przed wyjazdem musiał wiedzieć, że macocha nie jest kobietą, za jaką pragnie uchodzić.

Mógł nie wiedzieć o księciu, ale co roku, w sezonie, towarzyszył ojcu i jego obecnej żonie w wyjazdach do Londynu, gdzie na dwa miesiące otwierali raczej ponury dom na Hanover Square. Jeżeli macocha miała kochankę, równie dobrze mogło ich być więcej. Służba zatem musiała o tym wiedzieć, bo służba wie zawsze.

Millet nie odzywał się i Gracila zrozumiała, że nie będzie już namawiać jej do powrotu.

- Jak sam widzisz, Mitty - odezwała się po chwili - to jedyne miejsce, gdzie nie będą mnie szukać. Szczególnie teraz, kiedy jego lordowska mość jest tutaj. Po tym wszystkim, co o nim mówiono, wątpię, by miał problemy z nadmiarem gości.

- Ja też tak myślę, panienko - zgodził się Millet. - Jednakże nie może panienka mieszkać pod jednym dachem z dżentelmenem, a już zwłaszcza z jego lordowską mością. To by zrujnowało panienki reputację!

- Owszem, gdyby ludzie się dowiedzieli - odrzekła Gracila. - Ale przecież nikt się nie dowie. Nie dowie się również lord Damien.

- To znaczy panienka chce, żebym ją ukrył?

- Czemu nie? - spytała. - Barons' Hall jest dość duży, aby w razie potrzeby ukryć choćby i regiment wojska! Co więcej, biorąc pod uwagę to, co o nim dyszałam, wątpię, by jego lordowska mość został tu na dłużej.

To byłoby zbyt nudne dla człowieka, który według krążących pogłosek czuł się znacznie lepiej na przyjęciach albo i nawet na orgiach niż na wsi - pomyślała.

- Słyszałam o wymyślnych orgiach, jakie urządza w swoim palazzo w Wenecji - powiedziała kiedyś Macocha. Gracila wyczuła w jej głosie nutkę zazdrości.

- Orgie? - zainteresowała się przyjaciółka, do której były skierowane te słowa. - Orgie? Co się dzieje podczas

- Tego właśnie chciałabym się dowiedzieć! - odrzekła hrabina. - Emily wraca w przyszłym tygodniu, to nam powie. Ona wie wszystko.

Ale to macocha odwiedziła Emily, a nie odwrotnie, i Gracila nigdy nie poznała końca tej historii. Teraz oświadczyła stanowczym głosem:

- Jestem przekonana, Mitty, że lord Damien nie zostanie tu długo, a zatem możesz spokojnie ukryć mnie przed papą.

- Nie mogę tego zrobić, panienko - odpowiedział pełnym bólu głosem. - Nie chodzi już nawet o to, że nie chcę oszukiwać jego lordowskiej mości, ojca panienki, który zawsze traktował mnie jak dżentelmena. Po prostu boję się utracić moją nową posadę.

- Jak słyszałam, zostałeś majordomusem po śmierci starego Temple'a?

- Tak, panienko. Pan Baines, agent, poprosił mnie, abym przejął obowiązki Temple'a, niezbyt zresztą ciężkie, bo do tej pory nikt nie mieszkał w domu.

Umilkł na chwilę, a potem dodał:

- Starzeję się, panienko, i ciężko byłoby mi znaleźć nową pracę.

Gracila wydała cichy okrzyk.

- Och, Mitty! Jak macocha mogła cię odprawić? To było okrutne. Tak bardzo płakałam po twoim odejściu.

- Miała swoje powody, panienko.

- O, z pewnością! - przytaknęła Gracila twardym głosem.

Millet spojrzał na nią uważnym wzrokiem i cicho ciągnął dalej:

- Jeśli panienka nie może wrócić do domu, musimy pomyśleć o jakimś innym miejscu, do którego mogłaby się panienka udać.



- Nie ma takiego miejsca - odpowiedziała Gracila. - Długo się nad tym zastanawiałam. Nie ma takiego miejsca, zwłaszcza że nie mam pieniędzy.

- Nie ma panienka pieniędzy?

- Mam biżuterię mamy, którą nosiłam. Ale nawet gdybyś ją dla mnie sprzedał, bałabym się mieszkać... sama w Londynie.

- To nie do pomyślenia, panienko! Całkowicie nie do pomyślenia.

Gracila uśmiechnęła się lekko.

- W takim razie obawiam się, że będziesz musiał znosić moją obecność.

Stary majordomus spojrział na nią i zrozumiał, że nic innego nie może zrobić. Jak mógł pozwolić temu pięknemu dziecku - Gracila w jego oczach wciąż była dzieckiem - iść samotnie w zupełnie nie znany mu świat?

Wzdrygnął się na samą myśl o tym, co mogło ją spotkać. Nawet gdyby przyszło mu głodować, była to niska cena za radość, którą Gracila dawała mu od swego dzieciństwa.

- Mit...ty! Mit..ty!

Widział, jak z trudem idzie w jego stronę, niczym mały, tłuściutki cherubinek. Jej bladoniebieskie oczy błyszczą, a słodkie usteczka się uśmiechają.

Potem, kilka lat później, płakała, wtulona w jego ramiona:

- Nienawidzę... niani! Powiedziałam jej... prawdę, a ona nie chce mi uwierzyć!

W pamięci Milleta zachowało się jeszcze wiele innych obrazów Gracili: dziecko przychodzące do niego ze skargą na guwernantkę, dziewczyna rozpaczliwie szlochająca po śmierci matki.

Gdy patrzył wstecz, wydawało mu się, że całe jego życie skupiało się wokół sreber i lady Gracili. Kochał je z

ogromnym oddaniem i nie potrafił myśleć o nich inaczej jak tylko w powiązaniu ze sobą.

To dla swojej panienki, kiedy była jeszcze dzieckiem, wyjmował srebra z sejfu i pozwalał, by brudziła je swymi malutkimi paluszkami. To tej właśnie małej dziewczynce opowiadał o cudownych dziełach Hansa z Antwerpii, złotnika Henryka VIII.

Kiedy podrosła, nauczył ją rozpoznawać dzieła Paula de Lamarie, Platela i Paula Stoura, wielkich mistrzów tworzących w srebrze. Teraz Millet zrozumiał, że lady Gracila jest z czystego złota. Jest bezcennym skarbem.

- Ukryję panienkę - powiedział nagle, podjąwszy decyzję.  
- Ale jedno musi mi panienka przyrzec: że będzie się trzymać z daleka od jego lordowskiej mości, tak żeby panienki nie zobaczył.

- Zrobię tak, kochany Mitty. Nie chcę, byś miał przeze mnie kłopoty - obiecała. - Dziękuję... dziękuję ci z całego serca! Wiedziałam, że mnie nie zawiedziesz.

- Nie pochwalam tego, co panienka robi. Proszę o tym pamiętać - oznajmił szczerze. - Jak panienka wie, dobry sługa powinien być lojalny w stosunku do tego, kto mu płaci. Jego lordowska mość oczekuje ode mnie uczciwości, której i ja spodziewam się po nim.

- Nie wydaje mi się, by jego lordowska mość zechciał cokolwiek krytykować w swoim domu, biorąc pod uwagę, że nie było go tu od tak dawna - odparła Gracila.

Nagle uderzyła ją pewna myśl.

- Czy lord Damien wrócił sam?

- Przyjechał tylko ze swoim służącym, panienko, który jest z nim, odkąd jego lordowska mość dorósł. Znam go, to Dorkins. Pochodzi z sąsiedniej wioski.

Gracila uznała to za niezwykle interesujące. Człowiek, który przez wszystkie te lata przebywał z takim

rozpustnikiem, pochodził z tego samego hrabstwa i miał tu swój dom.

Właśnie zamierzała powiedzieć to na głos, gdy w wyrazie twarzy Milleta zauważyła coś szczególnego. Pamiętała, że zawsze kiedy organizował przyjęcie lub wydawał polecenia lokajom, nabierał powagi, która nadawała mu groźny wygląd. Przestawał wówczas być owym łagodnym, miłym i pełnym zrozumienia Mitym, do którego zwracała się o pomoc w kłopotach.

Czekała więc, a Millet oznajmił:

- Proszę tu zostać, panienko. Przyprawdżę moją siostrę. Ona musi być dopuszczona do tajemnicy, lecz oprócz niej nikt nie może się dowiedzieć.

- Ależ oczywiście! - zawołała Gracila. - Ufam pani Hansell tak jak tobie.

Po jego wyjściu Gracila usiadła i dopiero wówczas zwróciła uwagę na skarby rozłożone na stole.

Mogłam się spodziewać, że Mitty będzie czyścił swoje srebra do późna w nocy, gdy wszyscy już poszli spać - myślała.

Teraz, kiedy dopięła swego i wierny sługa przyrzekł ją ukryć, poczuła się słaba i wycieńczona. Szok, którego doznała po południu, i pośpiech, z jakim opuszczała dom, sprawiły, że czuła się, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem.

To wszystko było tak przerażające, tak nikczemne. Jej macocha, romansując za plecami ojca, była pewna, że małżeństwo księcia z Gracila skutecznie osłoni ich związek. Być może mogliby oszukać hrabiego, ale jak długo udałoby im się zwodzić ją?

Potem pomyślała, że gdyby nie podsłuchiwała owej rozmowy w bibliotece, nawet za tysiąc lat niczego by się nie domyśliła. Nie przyszłoby jej do głowy, że kobieta, która została żoną jej ojca i zajęła miejsce jej matki, postępuje tak

niemoralnie. Albo że księżę, który uchodzi za dżentelmena, zdecydował się poślubić ją jedynie dlatego, aby móc kontynuować romans ze swoją kochanką.

Gracila czuła się zbrukana. Powiedziała sobie jednak, że musi być rozsądna. Przecież ludzie zachowują się i w ten sposób. Mogło się to wydawać niezrozumiałe, ale była to jedna z ludzkich słabości.

Czytywała o podobnych sytuacjach w książkach, lecz wydawały się one jakby nierealne. Nigdy nie wyobrażała sobie, by coś takiego mogło przydarzyć się jej ojcu lub jej samej.

To na pewno z powodu mojego wieku i niedoświadczenia - myślała.

Drzwi otworzyły się i weszła pani Hansell.

Była to starsza kobieta o miłej twarzy, bardzo podobna do swojego brata. Tak jak Gracila się spodziewała, miała na sobie czarną suknię, a u pasa klucze zawieszane na srebrnym łańcuszku. Brzęczały, gdy szybkim krokiem podeszła do dziewczyny.

- Panienko! Panienko! - zawołała. - Nie mogę uwierzyć, że panienka tu jest!

- Nie tylko tu jestem - odparła Gracila - ale, jak Mitty zapewne już panią poinformował, potrzebuję jej pomocy.

- Poinformował mnie, panienko, tylko nie wiem, co by na to powiedziała panienki mamusia.

- Gdyby mama żyła, mogę pani przysiąc, pani Hansell, zrozumiałaby, dlaczego muszę uciekać i dlaczego tylko tu, z Mitym, no i oczywiście z panią, jestem bezpieczna.

- No cóż, panienko - rzekła ochmistrzyni - znam panienkę od maleńkiego i nie mogłabym odmówić jej prośbie. Mam tylko nadzieję, że postępuję słusznie.

- Z panią i z Mitym będę bezpieczna, pani Hansell, a tylko o to mi chodzi.

Uderzyła we właściwą strunę. Poznała to po wyrazie oczu kobiety. Tym wspaniałym, kochanym ludziom zależało na jej bezpieczeństwie.

- Cóż, umieszczę panienkę w pokoju niedaleko mnie - oznajmiła energiczniej pani Hansell, zdecydowawszy najwyraźniej, że im prędzej dokonają niezbędnych przygotowań, tym lepiej.

Spojrzała w stronę krzesła, na którym leżały suknie Gracili, a obok stała płócienna torba.

- Mam lepszy pomysł! - wykrzyknęła nagle. - Umieszczę panienkę w komnacie elżbietańskiej, w najdalszej części wschodniego skrzydła, i będę spała po sąsiedzku. Tam będzie panienka wystarczająco daleko od reszty służby.

Przerwała na chwilę, a potem podjęła wątek.

- Jak na razie, bo przecież jego lordowska mość dopiero co wrócił, pracuje ze mną tylko kilka starszych kobiet, którym ufam jak samej sobie. Ale być może będę musiała sprowadzić jeszcze inne, a kobiety dużo gadają, jak panienka zapewne wie.

- Tak, wiem - uśmiechnęła się Gracila. - I bardzo chciałabym mieszkać w komnacie elżbietańskiej.

Znała ten dom bardzo dobrze, ponieważ ojciec, który niegdyś odwiedzał starego lorda Damiena, często zabierał ją ze sobą. Podczas gdy obaj panowie rozmawiali, ona przebywała z panią Hansell, która nieraz oprowadzała ją po domu.

A było tu mnóstwo do oglądania.

Barons' Hall wziął swoją nazwę od baronów, którzy zebrali się w nim w czasie podpisywania Wielkiej Karty Swobód (Wielka Karta Swobód, Magna Charta Libertatum - akt ograniczający władzę królewską w Anglii, wydany pod naciskiem możnowładców przez Jana bez Ziemi w tysiąc dwieście piętnastym roku (przyp. tłum.)).

Ród lorda Damiena wywodził się bowiem od rycerzy, którzy razem z Wilhelmem Zdobywcą podbili Anglię.

Od tamtego czasu dom się zmienił. Po pożarze odbudowano go i niewiele pozostało z pierwotnego surowego wyglądu gniazda średniowiecznych baronów.

Skutkiem tego było pomieszanie stylów. Na początku osiemnastego wieku dobudowano ogromne pokoje gościnne, ale zachowały się także nisko sklepione komnaty z czasów królowej Elżbiety, z witrażowymi oknami. Ta właśnie część domu wydawała się Gracili najbardziej urzekająca.

Wątpiła, by nowy lord Damien, nawet jeśli lubił ogromne przyjęcia, chciał korzystać ze wschodniego skrzydła.

Największe wrażenie na gościach wywierały zawsze pokoje gościnne, w których stały łoża z kolumnami na kształt strusich piór, sięgającymi aż do zdobnych w malowidła sufitów. Podziwiano także złote lambrekiny, z których część była dziełem mistrza Adama, wieńczące georgiańskie okna o kwadratowych szybach.

Gracila podążyła za panią Hansell. Szły tylnymi schodami i krętymi, coraz węższymi korytarzami. Gdy zbliżały się do komnaty elżbietańskiej, dziewczyna poczuła się tak, jakby cofnęła się w przeszłość.

Była przecież zbiegiem, niczym jezuita uciekający przed ogniem i torturami za czasów królowej Elżbiety albo rojaliści, leżący w ukryciu, podczas gdy żołnierze Cromwella przeszukiwali dom.

W końcu dotarły do komnaty, znajdującej się na samym końcu korytarza, i ochmistrzyni zapaliła stojące na toalecie świece.

- Zastanawiałam się, panienko - odezwała się, wykonując tę czynność - jak moglibyśmy wytłumaczyć jego lordowskiej mości obecność panienki we dworze.

- Może podać się za pani siostrzenicę? - podsunęła Gracila.

- Bardzo mi panienska pochlebia - uśmiechnęła się pani Hansell - ale niestety nie przypomina panienska żadnej z moich siostrzenic, które przez te wszystkie lata mnie odwiedzały.

Gracila pamiętała, że odwiedzały też Milleta. Były to młode, wysokie, dobrze zbudowane kobiety, mające niezliczoną wprost liczbę dzieci.

- Mnie się zdaje, że byłoby bardziej wiarygodne - ciągnęła pani Hansell - gdyby panienska podała się za damę, która chwilowo znalazła się w trudnej sytuacji.

- Jeżeli ma pani na myśli brak pieniędzy, to rzeczywiście nią jestem! - odparła dziewczyna.

- Zanim przyszedłam tu przed około piętnastu laty, panienko - kontynuowała ochmistrzyni, jakby Gracila wcale się nie odzywała - byłam na służbie u sir Ronalda Deeringa. Dobry był to pan.

- Pamiętam. Mitty mi mówił, że służyła pani w domu lorda w Londynie.

- Potem sir Ronald popadł w kłopoty - nie pozwalała sobie przerwać kobieta. - Po pierwsze, z powodu hazardu, a po drugie, wskutek złej lokaty kapitału, więc dom zamknięto, a służbę odesłano do domów. Dlatego przyszedłam tutaj.

Gracila słuchała. Odgadła, do czego zmierza pani Hansell, ale ochmistrzyni nie lubiła, kiedy ją przynaglano.

- A gdybym tak powiedziała, panienko, że jest panienska jedną z wnuczek sir Ronalda, która po jego bankructwie i śmierci została sama, bez opieki i środków do życia? - zaproponowała wreszcie pani Hansell.

- Według mnie to wspaniały pomysł! - wykrzyknęła Gracila. - Będę jedynie musiała zapamiętać moje nowe nazwisko. „Deering” brzmi dobrze i nie jest zbyt trudne. Jest

pani bardzo sprytna, pani Hansell! Jak cudownie, że wymyśliła pani tak świetną historyjkę!

- Cieszę się, że panienka pochwała mój pomysł.

- Mitty'emu na pewno też się spodoba - zauważyła Gracila. - W ten sposób będę jutro mogła wyjaśnić obecność Cezara. Mimo wszystko zubożała wnuczka sir Ronalda ma prawo posiadać jeszcze konia.

- Nie znaczy to, panienko - przerwała jej szybko ochmistrzyni - że jego lordowska mość musi koniecznie dowiedzieć się o obecności panienki na dworze. Powinniśmy zaufać Thomasowi, którego Millet teraz budzi, by zajął się koniem panienki. Jest z nami spokrewniony.

- Wobec tego Thomas jest godny zaufania - uśmiechnęła się Gracila.

- A ja osobiście porozmawiam jutro z Cable'em - ciągnęła pani Hansell. - To dobry człowiek, chociaż trochę za wolno myśli.

Cable był głównym stajennym w Barons' Hall, odkąd Gracila sięgała pamięcią.

Po obejrzeniu domu, jeśli ojciec nie był jeszcze gotów do odjazdu, zawsze szła do stajni. Cable oprowadzał ją po boksach, wręczywszy jej uprzednio kosz z marchwią, którą karmiła konie lorda Damiena.

- Wszystkie są w wyśmienitej formie - mawiała pod koniec wizyty.

- Tak se i myślałem, co sie panience spodobają - odpowiadał powoli stajenny.

Na tym kończyły się jej rozmowy z Cable'em. Teraz Gracila pomyślała, że przynajmniej jednego może być całkowicie pewna: że nie powie on nikomu o jej obecności w Barons' Hall!

Pani Hansell zdjęła jedwab okrywający suknie dziewczyny i zaczęła je wieszać w szafie, jedną po drugiej.



Wyglądały nad wyraz strojnie i kosztowały astronomiczne sumy, ale macocha była zdecydowana ubierać ją jak przystało na prawdziwą księżnę.

Wątpię, czy ktoś mnie w nich zobaczy, ale przynajmniej będę miała przyjemność ich noszenia - myślała Gracila.

Nagle uprzytomniła sobie, że jeśli później przyjdzie jej zarabiać na życie, te suknie będą bezużyteczne - przecież żadna guwernantka czy dama do towarzystwa nie nosi takich strojów!

Nie było innych zawodów, których mogłaby się podjąć dama, i Gracila pomyślała, że z pewnością nie będzie miała dość szczęścia, by zdobyć którąś z tych posiadłości.

Rozpakowując płócienną torbę, pani Hansell jakby zgadywała myśli dziewczyny, odezwała się bowiem:

- Niech się teraz panienka nie martwi o przyszłość. Może za dzień albo dwa sprawy będą wyglądały lepiej niż dzisiaj.

- Wątpię - odpowiedziała cichym głosem Gracila. - Papa i macocha będą oczekiwali mojego powrotu przed wyznaczonym dniem ślubu z księciem, chociaż wyraźnie dałam im do zrozumienia, że nie wyjdę za niego za mąż.

- Z całą pewnością będzie niemałe poruszenie. Tu panienka ma rację! - przytaknęła ochmistrzyni.

Następnie, trzymając w rękach jedną z uroczych, ozdobionych koronką koszul nocnych, spytała:

- Czy panienka jest całkowicie pewna, że postępuje słusznie?

Zupełnie jakby po raz ostatni starała się nakłonić mnie do zrobienia tego, czego ode mnie oczekiwano - pomyślała Gracila. Podświadomie jednak wyczuwała, że tym razem - podobnie jak Millet - pani Hansell zaczyna rozumieć, co było powodem jej ucieczki z domu.

- Nie mogę.., wyjść za księcia - rzekła cicho - i nie mam zamiaru wracać do domu, dopóki papa i jego książęca wysokość nie pogodzą się z... tym, co się stało.

- Dobrze, panienko, jeżeli taka jest panienci decyzja, nie będziemy więcej o tym mówić - odrzekła ochmistrzyni. - Miejmy tylko nadzieję, że nikt nie przyjdzie tu szukać panienci.

- To ostatnie miejsce, w którym by mnie szukano - powiedziała z przekonaniem Gracila.

- Oby panienka miała rację - oparła pani Hansell. To powiedziawszy, wyszła, życząc jej dobrej nocy, a następnie Millet, który wciąż jeszcze uważał Gracilę za dziecko, przyniósł jej szklanekę gorącego mleka i trochę czekoladowych ciasteczek. Potem została sama w komnacie.

Rozebrała się powoli, rozkoszując się wszystkim, co odślaniało przed jej oczami światło świec. Widziała pociemniałe z upływem czasu boazerie, ręcznie haftowane krótkie aksamitne zasłonki w małych oknach, dębowe rzeźbione łóżko. Cały pokój zdawał się mówić, że jej kłopoty ostatecznie okażą się równie niewiele ważne jak problemy członków rodziny Damien, którzy tu przed nią sypiali.

Może i oni się bali! Może i oni przed czymś uciekali! Może i oni musieli walczyć, by uwierzono, że mają rację! - powiedziała sobie Gracila i ta myśl podziałała na nią kojąco.

Kładąc się do łóżka, czuła wokół siebie obecność dobrych duchów; była przekonana, że będą ją chronić i strzec przed złem.

Zamknawszy oczy, zaczęła myśleć o lordzie Damienie, leżącym teraz w innej części tego ogromnego domu, i zastanawiała się, co on czuje. Czy cieszy się z powrotu do domu i dlaczego wrócił po tylu latach?

Te myśli na chwilę oderwały ją od jej własnych trosk.

Jak dziwnie musi być mieszkać przez dwanaście lat z dala od Anglii i wszystkiego, co znane, bliskie. Dwanaście lat... A zatem lord Damien ma teraz trzydzieści jeden lat. Kiedy uciekł z markizą, miał dziewiętnaście.

Kochanka była od niego starsza i choć niania i guwernantka Gracila nie szczędziły jej pełnych uprzedzenia opisów, wszyscy zgadzali się co do tego, że była piękna.

I znów Gracila zebrała w całość strzępki informacji.

Markiza miała ciemną karnację, kruczoczarne włosy i ciemne oczy. Gracila podsłuchiwała, jak jeden z lokajów mówił: „Serce człowiekowi zamierało od samego wyrazu jej oczu”. Jakież mógł być ów wyraz oczu? - zastanawiała się wówczas.

Przez tyle lat intrygowała ją ich głośna ucieczka, a teraz cały ten podniecający dramat w pewien sposób złączył się z jej własnym losem. Główny aktor tego dramatu, „młody Romeo”, jak go ktoś szyderczo nazwał, był tutaj. Spała w jego domu, chociaż on nie miał o tym pojęcia.

Cokolwiek by mówili Mitty i pani Hansell - postanowiła Gracila - muszę na niego choć zerknąć, żeby przekonać się, czy naprawdę jest podobny do lorda Byrona i czy jest tak zły, niegodziwy, jak powiadają.

Słyszała jeszcze głos ojca, mówiącego do matki:

- Ten młody łobuz złamał serce swemu ojcu. Co byś czuła, Elizabeth, gdyby to nasz syn zachował się w taki sposób?

Głos hrabiego brzmiał gorzko. Co prawda miał trzech synów z pierwszego małżeństwa, lecz ku jego ogromnemu smutkowi Gracila była jedynym dzieckiem, które dała mu druga żona.

Gracila nie miała zbyt wielu kontaktów z przyrodnimi braćmi. Byli od niej dużo starsi, założyli już własne rodziny i rzadko przyjeżdżali do zamku.

Hrabia był jeszcze bardzo młody, gdy przyszli na świat. Synowie nigdy nie byli z nim w dobrych stosunkach i mało interesowali się siostrą.

Teraz właśnie najbardziej przydałby mi się brat, który podtrzymałby mnie w mojej decyzji - pomyślała Gracila.

Zastanawiała się, czy lord Damien zrozumiałby powody jej pełnego determinacji kroku, tak jak na pewno zrozumiałby je wymagany brat. Przecież sam uciekł z domu, chociaż z zupełnie innej przyczyny!

Chyba większość ludzi uznałaby moje postępowanie za oznakę tchórzostwa - myślała dalej.

W rzeczywistości jednak jej czyn wymagał niemałej odwagi. Była taka chwila w drodze do Barons' Hall, kiedy Gracila nagle zachwiała się w swej decyzji i o mało nie zawróciła.

Zdawało jej się, że przebycie ośmiu kilometrów dzielących oba dwory zabierze jej całą wieczność. Jechała przez pola, kiedy zapadły już ciemności. W pewnym momencie poczuła się tak, jakby zmierzała w nieznane. Ale nawet jeśli owo nieznane miało się okazać okropne i wstrząsające, czyż to, co знаła i od czego uciekała, było lepsze?

Czuła, jakby ktoś ją kusił, namawiał, by została księżną, zapomniała o tym, co słyszała w bibliotece, i udawała, że tamto zdarzenie nigdy nie zaistniało. Niewykluczone, że byłoby to możliwe, gdyby nie chodziło o jej macochę. Tu jednak w grę wchodziła kobieta, która zajęła miejsce jej matki, poślubiła jej ojca. Nie, to było nie do przyjęcia.

Dopiero wtedy z całą mocą uświadomiła sobie skutki wstrząsu, jakiego doznała. Poczuła się słabo, ale duma, o której istnieniu nie miała wcześniej pojęcia, rozpalila się w niej jak pochodnia.

Nie pozwolę sobie na słabość! - postanowiła. - Nie wrócę i nie będę się bać. Postępuję słusznie! Tak, miała rację, działając zdecydowanie i nie dając się wciągnąć w tę wstrętną intrygę, wzdragając się przed obniżeniem swoich norm moralnych i porzuceniem ideałów!

Cokolwiek miała jej przynieść przyszłość, była szczęśliwa, że nie okazała się wówczas tchórzem i nie zawróciła. Była tego pewna.

Nagle rozśmieszyła ją myśl, że to lord Damien, którego powszechnie uważano za szubrawca, człowieka godnego potępienia, w tej właśnie chwili, zupełnie nieświadomie, ją ochrania. Gdyby nie on, z całą pewnością odkryto by jej obecność w Barons' Hall i sprowadzono z powrotem do domu, gdzie musiałaby zapłacić za swój postępek. Ale miał tak okropną reputację, że nikomu by nawet przez myśl nie przeszło, iż ktoś tak młody i niewinny jak ona może ukrywać się w jego domu, zwłaszcza kiedy on w nim przebywa!

Leżąc w ciemnościach, Gracila uśmiechała się do siebie. Myślała o tym, jakie zgorszenie wywołałaby wśród uwielbiających plotki przyjaciółek macochy. Jaką smakowitą historyjkę mogłyby powtarzać na swoich spotkaniach!

- Czy wiecie, dokąd udała się zbiegła narzeczona? - pytałyby jedna drugą. - Do Barons' Hall!

- To musi być sprawka lorda Damiena.

- Gdzie ona mogła go spotkać?

- Czy to ma jakieś znaczenie? Jest tam teraz razem z nim!

- Chcesz powiedzieć, że Gracila przebywa w Barons' Hall? Zawsze podejrzewałam, że ta dziewczyna jest inna, niż wszyscy uważają.

- Cóż, na szczęście biedny książę odkrył prawdę, zanim włożył obrączkę na jej palec.

- Nie będzie miał problemu ze znalezieniem innej kandydatki na żonę, ale wątpię, by Gracila kiedykolwiek znalazła męża!

Panie wybuchnęłyby na to dźwięcznym śmiechem i wtedy ktoś zauważyłby:

- Jednego możemy być pewne: lord Damien się z nią nie ożeni! Nie ożenił się z żadną z licznych kobiet, które przewinęły się przez jego życie. Dlaczego teraz miałby zrobić wyjątek?

Gracila zachichotała. Zupełnie jakby słuchała sztuki!

Powiedziała sobie, że choćby dla dobra ojca, nikt nie może dowiedzieć się o jej pobycie w Barons' Hall, i to w czasie obecności lorda Damiena!

### ROZDZIAŁ 3

Gracila wymknęła się z domu bocznymi drzwiami i, kryjąc się w zaroślach, ruszyła w stronę strumienia wpadającego do jeziora.

Po raz pierwszy, odkąd przybyła do Barons' Hall, odważyła się wyjść na zewnątrz. W powietrzu unosił się zapach bzu, a przez zieleń liści przebijały się późne żonkile. Gracila pomyślała, że ogród nigdy nie wyglądał piękniej.

Minęły dwa lata od śmierci starego lorda Damiena. Ogród zarósł i zdziczał.

Jak słyszała od ojca, administratorzy posiadłości postanowili zwolnić wszystkich młodych służących i zatrzymać tylko tych, którzy byli przy rodzinie od lat i wkrótce mieli zakończyć pracę ze względu na swój wiek.

Pani Hansell potrafiła utrzymać dom w takim samym porządku jak za czasów, kiedy żył jej dawny pan, lecz ogrodnicy nie dali sobie rady z naturą.

Patrząc na bujną roślinność, odnosiło się wrażenie, jakby każdy nie strzyżony krzaczek radował się wolnością. Zaczęły kwitnąć złotokapy, a liliowy bez wyglądał wspaniale obok pierwszych czerwonych kwiatów rododendronu.

Było tak cudownie, że Gracila miała ochotę tańczyć niczym nimfa pośród krzewów i wyciągać dłonie ku kwiatom migdałowca, białym i różowym na tle błękitnego nieba.

Czy gdziekolwiek na świecie mogło być piękniej niż w Anglii w maju? Zastanawiała się, czy nie dlatego właśnie lord Damien powrócił do domu.

Chociaż mieszkali pod jednym dachem, trudno jej było dowiedzieć się czegokolwiek na jego temat. Zawsze ilekroć zadawała jakieś pytania, pani Hansell zbywała ją półsłówkami. Tak samo reagował Millet.

- Powiedz, Mitty, co jego lordowska mość je dziś na kolację? - zainteresowała się Gracila poprzedniego dnia, kiedy stary majordomus przyniósł jej tacę z jedzeniem.

Spożywała posiłki w małym pokoiku tuż obok swojej sypialni, który pani Hansell przysposobiła tak, że mógł służyć jako salonik. Wiedziała bowiem, że ochmistrzyni nie podobałoby się, gdyby jadła w sypialni, chociaż sama nie miała nic przeciwko temu.

- Prawie dokładnie to samo, co panienka - odpowiedział Millet i szybko zmienił temat, najwyraźniej nie chcąc mówić o swoim panu.

Widocznie lękali się, by nie zaczęła się interesować lordem Damienem, i Gracila miała ochotę przyznać się, że intrygował ją, gdy jeszcze była małą dziewczynką. W każdym razie wcześniej czy później, bez względu na to, co o tym sądzili, miała zamiar go zobaczyć.

Nie było to jednak proste. Lord Damien sypiał w apartamencie znajdującym się na drugim końcu domu i Gracila nie miała gdzie się ukryć, aby popatrzeć, jak schodzi głównymi schodami lub spaceruje przestronnymi korytarzami w osiemnastowiecznej części budynku.

Będę musiała cierpliwie poczekać na właściwy moment - mówiła sobie.

Jedno było pewne: nie mogła liczyć na pomoc ani Milleta, ani pani Hansell!

- Muszę wyjść na zewnątrz, zaczerpnąć świeżego powietrza - powiedziała do ochmistrzyni poprzedniego dnia.

Kazano jej przebywać w sypialni i saloniku przez cały dzień. Promienie słońca wpadały właśnie przez okna do pokoju i czuła się jak w więzieniu.

- To niemożliwe, panienko - oświadczyła stanowczo pani Hansell. - Nie mam pojęcia, gdzie jego lordowska mość może



teraz być, a wie panienska, co by się stało, gdyby panienskę zobaczył!

- Co by się stało? - zainteresowała się Gracila.

- To by znaczyło, że musi panienska stąd wyjechać - odrzekła pani Hansell.

Gracila przyznała jej rację. Jednocześnie czuła się tak, jakby była pod opieką bardzo surowej guwernantki albo jeszcze gorzej - nadopiekuńczej niani.

Ochmistrzyni najwyraźniej obawiała się, żeby Gracila nie wpadła w kłopoty z powodu swej niespokojnej natury, ale tego dnia rano oznajmiła:

- Dzisiaj może panienska wyjść z domu.

- Naprawdę?! - wykrzyknęła Gracila. - Jak cudownie! Ale dlaczego? Co się stało?

- Jego lordowska mość kazał przygotować konia i, jak rozumiem, ma zamiar udać się na przejażdżkę aż do najdalszych granic swej posiadłości.

- Wspaniale! - stwierdziła dziewczyna.

- Zajmie mu to kilka godzin, a jego sługa powiedział, że pan zje obiad poza domem.

- Wobec tego będę mogła spędzić ranek w lesie! - zawołała z radością Gracila. - Wie pani, jak bardzo kocham las o tej porze roku.

Twarz pani Hansell nabrała łagodnego wyrazu.

- Pamiętam, jak kiedyś - panienska nie mogła mieć wówczas więcej niż pięć albo sześć lat - przyjechałam odwiedzić Milleta i panienska przyniosła mi zebrane przez siebie pierwiosnki. Panienska sama wyglądała wtedy jak pierwiosnek.

Uśmiechnęła się i mówiła dalej:

- Tak sobie wczoraj rozmawialiśmy z Milletem, że panienska wcale się nie zmieniła.

- Mam nadzieję, że chociaż trochę urosłam? - spytała ze śmiechem Gracila.

- Twarz ma panienka taką samą - zapewniła pani Hansell.  
- Zupełnie jak kochana mamusia panienki, która zupełnie się nie starzała i do końca swoich dni wyglądała jak dziecko.

- Zawsze była piękna - przytaknęła cicho Gracila. Sądziła, że pani Hansell skomplementuje ją, mówiąc, że ona także jest piękna, lecz zamiast tego stara ochmistrzyni wyjęła z szafy suknię i oświadczyła z werwą:

- Przygotowałam panience kąpiel, a oto jedna z mniej strojnych sukien panienki, chociaż moim zdaniem wszystkie są zbyt eleganckie, żeby spacerować w nich po ogrodzie i siadać na trawie.

- Będę bardzo uważała - przyrzekła Gracila potulnie. - Obawiam się, że będą musiały wystarczyć mi na długo.

Nie czekała na odpowiedź ochmistrzyni. Wzięła kąpiel i zjadła wyśmienite śniadanie w małym saloniku. Słońce wpadało przez okna i na samą myśl o wyjściu z domu czuła takie podniecenie, jakby wybierała się na bal.

Teraz nie musiała się spieszyć. Mogła delektować się otaczającą ją przyrodą. Zatrzymała się na chwilę, by delikatnie dotknąć kwiatów magnolii, wyglądających, jakby pokryto je woskiem.

Magnolie zawsze dobrze rosły w Barons' Hall. Gracila pamiętała, jak stary lord Damien był dumny ze swoich drzewek.

- Nie ma wielu miejsc w Anglii, gdzie rosą one równie dobrze jak tutaj - mawiał za każdym razem, gdy ktoś je podziwiał.

Dla Gracili uosabiały one Wschód, o którym czytała w książkach i o którym pragnęła dowiedzieć się więcej. Może kiedyś uda jej się pojechać do Egiptu, Persji czy Indii, krajów

łączących w sobie egzotyczny czar i piękno równie zniewalające i mistyczne jak piękno magnolii...

Szła dalej, aż dotarła do strumienia wpadającego do jeziora. Strumyk nie był zbyt szeroki. Wił się pośród drzew, by w końcu, przepłynąwszy przez gęsty las, dotrzeć do granic posiadłości Damienów.

W czystej wodzie pływały pstrągi; pozazdrościła im gracji, z jaką się poruszały. Cudownie byłoby umieć tak pływać - pomyślała.

Przypomniała sobie, jak próbowała nauczyć się pływać w jeziorze koło zamku, kiedy była jeszcze dzieckiem. Ale gdy skończyła dziesięć lat, powiedziano jej, że jest za duża, by się kąpać - - ktoś mógłby ją zobaczyć.

- A kogo by to interesowało? - spytała. - I cóż by się takiego stało, gdyby mnie ktoś zobaczył?

Wiedziała, że nie uzyska odpowiedzi na te pytania. Pływanie było zabronione, bo dama nie powinna wychodzić na powietrze - bez względu na to, czy ją ktoś obserwuje, czy nie - jeśli nie jest kompletnie ubrana.

Dorastanie jest straszną nudą - myślała wówczas. Zresztą od tamtego czasu bynajmniej nie zmieniła zdania.

Dlaczego zgodziła się na małżeństwo i bezwiednie pozwoliła się postawić w tak trudnej sytuacji? Nie miała przecież ochoty poślubić księcia, chociaż jej macocha, dla swoich własnych celów, starała się przedstawić ten mariaż jako niezwykle atrakcyjny.

Wcześniej byłam zupełnie szczęśliwa - myślała z goryczą. - Dobrze było mieć guwernantkę, która robiła wokół mnie tyle szumu. Podobało mi się tych kilka przyjęć, na których byłam w Londynie.

Patrząc wstecz, pojęła, że trzy tygodnie spędzone w stolicy, rzekomo dla poczynienia zakupów, w rzeczywistości

miały pomóc macosze w realizacji jej planu i doprowadzeniu do ślubu Gracili z księciem.

- Będiesz mogła wrócić, kiedy zacznie się sezon - powiedziała do niej hrabina, gdy z powodu kilku nowo nawiązanych przyjaźni protestowała na wieść o wyjeździe do domu.

- A kiedy zaczyna się sezon? - spytała Gracila.

- W kwietniu - odrzekła krótko macocha. Zanim jednak nastał kwiecień, odbyły się zaręczyny i chociaż zazwyczaj okres narzeczeństwa trwał dość długo, Gracili oznajmiono, że jej ślub odbędzie się trzydziestego pierwszego maja.

- Jaki sens miałyby zwlekanie ze ślubem - zapytała macocha - kiedy możesz pojawić się w salonie pałacu Buckingham jako księżna, a nie jako wprowadzana przeze mnie debiutantka?

Brzmiało to dość rozsądnie. Jednocześnie jednak Gracila miała wrażenie, jakby ją poganiano. Ale teraz była wolna! A ostatniej nocy, leżąc w ciszy wypełniającej komnatę elżbietąńską, postanowiła nie wybiegać zbyt daleko w przyszłość. Przerazała ją bowiem myśl o tym, co może się z nią stać. Przerazała ją myśl, co zrobi bez pieniędzy, nie mając dokąd się udać.

Jak dotychczas, los mi sprzyja - powiedziała sobie. - Nie mogłoby mnie spotkać nic lepszego niż to, że mam Mitty'ego, który mi pomoże.

Kiedy zbiegała tylnymi schodami prowadzącymi do ogrodu, czuła się jak ptak uciekający z klatki. Nie włożyła nawet czepka, chociaż wiedziała, że pani Hansell życzyłaby sobie tego.

Wymknęła się zaraz po śniadaniu, zanim ktokolwiek zdążył ją zatrzymać i wydać instrukcje, co wolno jej robić, a czego nie. Czuła się trochę winna, ale przynajmniej przez chwilę była panią samej siebie!

Schyliła się, zamoczyła palce w przejrzystej wodzie strumienia i patrzyła, jak przestraszone z nagła małe rybki chowają się w cień.

Na brzegu rosły fiołki, trochę dalej, w głębi lasu, unosiła się woń sosny. Pachniało wiosną. Był to specyficzny zapach, nieporównywalny z zapachem żadnej innej pory roku.

Szła dalej, trzymając się brzegu strumienia, aż las zaczął gęstnieć, a słońce z trudem przebijało się przez gałęzie.

Las wyglądał tajemniczo i romantycznie, lecz był mroczny, a Gracila chciała dziś przebywać na słońcu. Powoli więc wróciła po własnych śladach do miejsca, gdzie gałęzie, pochylone nad strumieniem, tworzyły jakby zielony tunel, którym płynęła woda.

Nie zważając na niechybne wymówki pani Hansell, usiadła na trawie. Zerwała kilka fiołków znajdujących się w zasięgu jej ręki i pogrążyła się w marzeniach, za które zawsze ganiła ją guwernantka.

Wymyślała i opowiadała sobie historie, w których odgrywała główną rolę. Były one zawsze wesołe i miały szczęśliwe zakończenie. Występowali w nich nie ludzie, lecz mitologiczni bogowie i boginie, o których czytała w książkach; bohaterowie o wiele ciekawszy niż jej przyjaciele, a nawet rodzina. Oprócz nich pojawiały się różne postacie z bajek: nimfy i elfy, chochliki i fauny, czarownice i olbrzymy.

Teraz również uciekła w świat marzeń, by nie myśleć o tym, co się działo w zamku i jak zareagowali jej ojciec i macocha, gdy się przekonali, że zniknęła.

Mniej więcej dwie godziny później Gracila usłyszała dźwięk, który nie przypominał ani bzyczenia pszczoł, ani gruchania gołębi, ani odgłosów drobnych zwierząt w trawie. Przez chwilę nie sposób go było rozpoznać, gdyż wtapiał się w inne dźwięki. Ale potem rozpoznała go: był to tętent końskich kopyt. Ktoś jechał konno w jej kierunku!

Skoczyła na równe nogi, jak spłoszona nimfa.

Nikt nie może mnie tu znaleźć - pomyślała i rozejrzała się dookoła, chcąc znaleźć jakieś ukrycie. Gdyby zaczęła biec w stronę drzew, z pewnością jeździec dostrzegłby jej białą sukienkę, lecz gdzież indziej mogła się schować?

Wtedy zauważyła, że cały czas siedzi pod starą jabłonią. Obejrzała drzewo okiem znawcy i uznała, iż dość łatwo jest na nie wejść.

Zawsze potrafiła dobrze wspinać się na drzewa. Od dziecka znajdowała w ich konarach kryjówkę przed nianią i guwernantką. Doprowadzała je do wściekłości, gdy po długich i zmudnych poszukiwaniach znajdowały ją ukrytą wśród gałęzi jakiegoś wysokiego drzewa, stojącego zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym niespodziewanie zniknęła.

Z łatwością uniosła spódnicę swej kosztownej sukni, zastanawiając się, co powiedziałyby na to pani Hansell, i wspięła się po pniu na drzewo. Cała operacja zakończyła się szczęśliwie, bez większego uszczerbku dla obszytej koronkami kreacji.

Wspinała się wyżej i wyżej, aż w końcu usadowiła się wygodnie pomiędzy gałęziami, gdzie jeździec raczej nie mógł jej dojrzeć, chyba żeby specjalnie czegoś tam wypatrywał.

Zdażyła w ostatniej chwili, bo oto z lasu wyłonił się i zmierzał w jej stronę koń z mężczyzną na grzbiecie.

Wystarczyło jedno spojrzenie i serce Gracili podskoczyło w piersi: jeźdźcem był ten, którego od dawna chciała ujrzeć - sam lord Damien!

Z początku nie widziała go dość wyraźnie z powodu odległości. Potem zauważyła, że tak jak ona jest z gołą głową. Włosy miał ciemne, na modłę byronowską odrzucone z czoła do tyłu.

Zanim mogła dostrzec coś więcej, przyszyły jej do głowy słowa wiersza:

Twarz ogorzała, skroń wzniosła i blada, Włos kruczy  
bujno pierścieniami spada. (Przekład A. E. Odyńca.)

O mało co nie zaśmiała się głośno na myśl o tym, jak  
bardzo ów opis pasuje do lorda Damiena.

Gdy jeździec się przybliżył, zobaczyła go wyraźniej i  
pomyślała, że wygląda dokładnie tak, jak musiał wyglądać  
autor Wędrówek Childe Harolda.

Być może wywoływał jeszcze większe wrażenie, bo było  
w nim coś władczego.

Nieraz z brwi groźnych, z drżenia ust i czoła Znać dumę,  
której poskromić nie zdoła. (Przekład A. E. Odyńca.)

Miał prosty arystokratyczny nos. Jechał tak wolno, że  
Gracila domyślała się, iż jego czarne oczy wpatrują się w  
wodę.

Zatrzymał konia. Jego twarz była wciąż zwrócona ku  
strumieniowi.

Patrzy na pstrągi, zupełnie jak ja - pomyślała.

Obserwując jego profil, zrozumiała znaczenie słów,  
którymi opisywały go kobiety, począwszy od macochy i jej  
przyjaciółek, a skończywszy na służących.

Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek  
widziała, pomijając tych, którzy byli wytworami jej fantazji.  
Wyglądał dokładnie tak, jak go sobie zawsze wyobrażała.

Nic dziwnego, że jego nazwisko wiązano z tyloma  
skandalami.

Nic dziwnego, że markiza z nim uciekła, wywołując w  
hrabstwie poruszenie, które do tej pory nie ucichło.

Nic dziwnego, że miał takie powodzenie w Paryżu,  
Wenecji, Rzymie, Neapolu i Palermo! Któż bowiem mógłby  
oprzeć się pięknu, bez względu na to, gdzie się znajdowało?

Lord Damien ruszył powoli naprzód. Gracila szybko się  
zorientowała, że jego trasa wypada dokładnie obok drzewa, na  
którym się ukryła. Wstrzymała oddech, żałując, iż wybrała

akurat tę jabłoń, zamiast pobiec gdzieś dalej od strumienia i tam poszukać schronienia.

Jeździec zbliżył się do drzewa. Musiał odchylić głowę, by gałęzie nie podrapały go w twarz. W tej samej chwili nad strumieniem pojawiło się nagle coś bajecznie barwnego i mężczyzna ponownie wstrzymał konia.

Jego uwagę przyciągnął zimorodek, którego Gracila widziała już, gdy siedziała bez ruchu na trawie. Teraz, z powodu tego cudownie poruszającego się ptaszka, lord Damien zatrzymał się tuż pod nią i gdyby sięgnęła ręką w dół, mogłaby dotknąć czubka jego głowy.

Miał na sobie bryczesy do konnej jazdy, wyciętą kurtkę i - nie wierzyła własnym oczom - byronowską koszulę, taką, jakie weszły w modę kilka lat temu.

Gracila pamiętała, jak ojciec ganił tę modę, uważając, że jest niechlujna i nie przystoi dżentelmenowi. Usiłowała przypomnieć sobie, kto powiedział jej, że księżę Albert nosił taką koszulę w dzień po ślubie, by poruszyć serce królowej Wiktorii. Prawdopodobnie była to macocha.

- Nie wierzę - oznajmił wówczas hrabia ostrym głosem. - A gdyby nawet tak było, żaden dżentelmen nie zasiądzie przy moim stole, jeśli nie będzie porządnie ubrany!

Koszula zdecydowanie nadawała lordowi Damienowi poetyczny wygląd, ale jednocześnie było w nim coś, co temu zaprzeczało. Gracila nie potrafiła jednak myśleć rozsądnie i krytycznie, gdy znajdował się tak blisko niej.

Nie było już ani śladu po zimorodku i jeździec ściągnął lejce, gotów ruszyć dalej. Robiąc to, spojrział w górę.

Najwyraźniej intuicyjnie wyczuł czyjaś obecność lub przyciągnęły go wpatrzone w niego oczy dziewczyny. Cokolwiek jednak to było, skierował wzrok ku górze, na gałąź zwisającą nad jego głową, i pomiędzy liśćmi zobaczył drobną owalną twarzyczkę i dwoje żywych niebieskich oczu.



Koń już ruszył, ale lord Damien powstrzymał go gwałtownie. Wciąż miał głowę uniesioną, a po dłuższej chwili zapytał:

- Jeśli wolno wiedzieć, czy jesteś, pani, Dafne uciekającą przed Apollinem, czy gwiazdką zbiegłą z nieba?

Miał głęboki głos, przez który przebijała nutka rozbawienia.

Przez moment Gracila, zaskoczona tym, że ją dostrzegł i przemówił do niej, nie potrafiła wydusić z siebie słowa. Potem jednak, ponieważ zacytował fragment jednego z jej ulubionych poematów, odrzekła:

- Cóż... anioły wszystkie zgodnie... fałszowały. Lord Damien roześmiał się i powiedział:

- Więc zna pani poezje Byrona?

Jego koń przebierał nogami, musiał więc trzymać go w ryzach.

- Proszę zejść - dodał. - O ile nie spieszy się pani z powrotem na firmament niebieski, z którego zapewne spadła!

Przez moment Gracila się wahała. Właśnie takiego spotkania kazano jej się wystrzegać, ale nie miało sensu unikać rozmowy, skoro już ją odkrył. Trudno jednak prowadzić konwersację, gdy ona kurczowo trzyma się gałęzi, a on stoi na dole z zadartą głową.

Najwyraźniej czekał na jej odpowiedź, po chwili więc odparła:

- Dobrze... ale musi pan kawałek odjechać.

- Dlaczego?

Uśmiechnęła się i zobaczył małe urocze dołeczki na jej policzkach.

- Nie przystoi damie wchodzić na drzewa, a cóż dopiero z nich schodzić!

Lord Damien roześmiał się ponownie i zapytał:

- Ale zgodzi się pani porozmawiać ze mną? Nie zniknie pani i nie będę jej musiał ścigać po niebie?

- Nie, nie ucieknę i porozmawiam z panem - przyrzekła.

Odjechał, przedzierając się przez gałęzie, i zatrzymał konia. Kiedy z niego zsiadł, Gracila zeszła z drzewa, mając nadzieję, że się nie odwróci i nie zobaczy jej białych odsłoniętych pończoszek.

Znów starała się uważać na swoją suknię, ale gdy znalazła się wreszcie na ziemi, na jej spódnicy było sporo zielonych plam. Instynktownie podniosła rękę do włosów, a następnie przeszła między drzewami do miejsca nie opodal strumienia, gdzie czekał na nią lord Damien.

Był o wiele wyższy i bardziej barczysty, niż przypuszczała. Pomimo byronowskiej koszuli wcale nie wyglądał tak poetycznie, jak się spodziewała. Prawdę powiedziawszy, sprawiał wrażenie bardzo męskiego i starszego, niż sądziła.

Na jego twarzy wyraźnie malowało się zdziwienie. Uniósłszy brwi, powiedział:

- Zdawało mi się, że jest pani dzieckiem, ale - jak widzę - myliłem się.

W jego głosie pobrzmiwało coś, co wywołało rumieńce na policzkach Gracili.

- Byłoby... znacznie lepiej, gdyby nadal... uważał mnie pan za dziecko lub, jeśli pan woli, za gwiazdkę, która uciekła z nieba.

- Dlaczego?

- Są ku temu pewne powody.

- A najbardziej oczywisty to ten, że nie powinna pani ze mną rozmawiać.

Jego twarz się zmieniła i nabrała cynicznego, jakby gorzkiego wyrazu.

Gracila spojrzała na niego uważnie. Wiedziała już, dlaczego nie można było nazwać jego wyglądu poetycznym. Wiedziała, dlaczego wydał jej się starszy.

- Ale ja chcę z panią porozmawiać - kontynuował lord Damien. - Lubię tajemnice i nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek znalazł ukrytą na drzewie gwiazdę, a już zwłaszcza na jednym z moich drzew!

- Byłoby... najlepiej, gdyby... zapomniał pan, że mnie kiedykolwiek widział - odezwała się Gracila z wahaniem w głosie.

- Zupełnie absurdalna sugestia, a ponieważ nie mam zamiaru gonić pani, czy mógłbym prosić, aby zechciała pani usiąść i porozmawiać ze mną?

Jakby poddając się nie tyle jego namowom, ile przeznaczeniu, Gracila lekko uniosła dłonie.

- Nie zostawia mi pan raczej... wyboru.

Lord Damien rozejrzał się dookoła. Szukał miejsca, gdzie mógłby przywiązać konia.

- Samson się nie oddali - rzekła - a nawet gdyby, złapie go pan bez trudu.

- A więc zna pani imię mojego konia?!

Gracila zrozumiała, że palnęła głupstwo, odzywając się bez zastanowienia.

Samson był starym koniem, tak jak większość koni w stajniach Barons' Hall. Karmiła go setki razy podczas swoich wizyt. Stąd wiedziała, że raczej nie pobiegnie sam do domu, jak młode zwierzę.

Jakby chcąc okazać, że wierzy jej słowom, lord Damien zarzucił Samsonowi lejce na szyję i odwróciwszy się zaproponował:

- Może usiądziemy nad strumieniem? Przed chwilą widziałem tam zimorodka.

- Co roku para zimorodków buduje tu gniazdo.

- Proszę opowiedzieć mi o tym i o innych rzeczach, które pani wie o mojej posiadłości.

Mówiąc to, wybrał miejsce w cieniu drzew, gdzie trawa była krótka i sucha i skąd mogli patrzeć na rozbłyskującą w promieniach słońca wodę w strumieniu.

Gracila usiadła sztywno, patrząc na niego z ciekawością. Kiedy wyciągnął się obok niej, zauważyła, że pomimo pełnej wdzięku sylwetki jest atletycznie zbudowany i niewątpliwie silny. Zupełnie nie przypominał poety czy człowieka osłabionego rozpustnym życiem.

Oparł głowę na ramieniu i spojrzawszy na nią, poprosił:

- Niech mi pani opowie coś o sobie.
- Tego... niestety nie mogę... zrobić.
- Dlaczego?
- Są ku temu... ważne powody, ale nie mogę ich wyjawiać.
- Czy w ten sposób stara się pani zwrócić na siebie uwagę? - zapytał.

Pokręciła przecząco głową.

- Ależ skąd! Szczerze mówiąc... chciałabym poprosić pana o... pomoc.

- O pomoc? W jaki sposób mógłbym pani pomóc?
- Nie będąc zbyt dociekliwym.
- Czy uważa mnie pani za wścibskiego?
- Schowałam się... przed panem.
- Ale dlaczego?

Zawahała się. Zanim zdążyła coś powiedzieć, odezwał się ostrym głosem:

- Nie ma potrzeby odpowiadać na to pytanie! Każda dobrze wychowana i rozsądna kobieta postąpiłaby podobnie.

Znów wyczuła w jego głosie tyle goryczy, że instynktownie wyciągnęła dłoń, jakby chciała go uspokoić, ale zaraz opuściła ją na kolana.

- Nie schowałam się z tego... powodu - odparła. -  
Przynajmniej... niezupełnie.

- Ta informacja nie wyjaśnia mi zbyt wiele - zauważył  
lord Damien.

- Wiem - odparła - ale to takie... skomplikowane.

- To pani jest skomplikowana. Znajduję panią ukrytą na  
drzewie, po czym mówi mi pani, że schowała się lam przede  
mną, ale niezupełnie!

- Lepiej by było, gdyby pojechał pan wtedy dalej.

- Ale nawet w połowie nie byłoby tak interesująco -  
odrzekł i Gracila nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

Obserwował ją. Potem stwierdził:

- Wziąłem panią za dziecko, lecz teraz widzę, że jest pani  
jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek  
spotkałem. Chociaż nie jest pani jeszcze w pełni kobietą.

Policzki Gracili zaczerwieniły się i odwróciwszy od niego  
głowę, spojrzała w stronę strumienia.

- Chciałbym zadać pani setki pytań - ciągnął lord Damien.

- Dowiedzieć się, kim pani jest. Dlaczego się tu znalazła?  
Dlaczego jest pani tak tajemnicza? Najpierw jednak chciałbym  
zapewnić, że patrzeć na panią to prawdziwe szczęście, i  
zastanawiam się, czy przypadkiem nie śnię!

- Śni pan - mruknęła Gracila.

- Zdziwiający, że ktoś tak cudowny, tak idealny pojawił  
się w takim miejscu jak Barons' Hall.

Wyczuła przykrą nutę w jego głosie, więc powiedziała:

- Proszę nie mówić o Barons' Hall w ten sposób. Czy nie  
widzi pan jak tu pięknie, zwłaszcza w maju. Myślałam, że  
właśnie z tego powodu wrócił pan do domu.

Do czego cię porównać? Do dnia w pełni lata?

Jesteś od niego bardziej i świeższa, i stała

Jeszcze i w maju wiatr nieraz mrozem pąk omiata.

(Przekład S. Barańczaka.)

Zacytował te słowa Szekspira łagodnym głosem, patrząc na nią przenikliwie. Ponieważ milczała, wyjaśnił:

- Prawdę mówiąc, szukałem schronienia.
- Schronienia! - wykrzyknęła zdziwiona Gracila.
- Wolałbym o tym nie mówić - rzucił szybko lord Damien. - Chciałbym natomiast porozmawiać o pani.
- Tego z kolei ja chciałabym uniknąć.
- W takim razie, o czym będziemy rozmawiać? - spytał. - Niewielu kobietom musiałbym zadać to pytanie, ale, jak sądzę, moja mała gwiazdka, naprawdę jest pani bardzo młodziutka.

Słodkie stworzenie, kształty ledwie sformowane Róża, co najpiękniejsze płatki w pąku ma skrywane.

Gracila zaśmiała się, słysząc ten cytat, a po chwili lord Damien dodał:

- Teraz proszę mi powiedzieć, dlaczego osoba tak młoda i piękna jak pani miałaby się ukrywać?

Zastanawiała się przez moment.

- Jeżeli uchylę rąbka tajemnicy, by zaspokoić pańską ciekawość, czy obieca mi pan coś?

- Obietnice zazwyczaj bywają niebezpieczne!

- Złożenie tej obietnicy nie będzie dla pana niebezpieczne, ale gdyby ją pan złamał... byłoby to niebezpieczne dla mnie.

- W takim razie ma pani moje słowo.

- Wobec tego, czy przyrzeka pan nie wspomnieć nikomu o spotkaniu ze mną... ani o naszej rozmowie?

Uniósł lekko brwi.

- Jestem tu sam. Przerwał, a potem spytał:
- Chodzi pani o służbę? Gracila skinęła głową.
- Czy to znaczy, że mają zaszczyt wiedzieć o sprawach, o których mnie nie chce pani powiedzieć?

- Niezupełnie - odparła. - Ale jeżeli wspomni pan o tym Milletowi...

- Mojemu majordomusowi?

- Tak. Jeżeli powie mu pan o naszym spotkaniu albo jeśli dotrze to do pani Hansell, pańskiej ochmistrzyni, zostanę stąd odesłana.

- Czy to znaczy, że mieszka pani w moim domu, w Barons' Hall?

- Nie mam... dokąd iść.

- Goszczenie pani w moim domu to prawdziwy zaszczyt i przyjemność, lecz czy zechce mi pani wyjawić, dlaczego nie ma dokąd się udać?

Mówiąc to, spojrział na jej suknię i pomyślała, że musiał zdawać sobie sprawę, jak wiele kosztowała. A jeżeli nie chodziło o brak pieniędzy, to o co chodziło?

Czekał na dalsze wyjaśnienia, po chwili więc zaczęła z wahaniem:

- Ja... ja... znalazłam się w bardzo... trudnej sytuacji... i... musiałam uciec.

- Czy to znaczy, że uciekła pani z domu?

- Tak.

- Nic dziwnego, że wziąłem panią za zbiegłą gwiazdę! Czy zdziwiła się pani, gdy zacytowałem Byrona?

- W pewnym sensie... spodziewałam się tego. Zawsze kojarzył mi się pan z... lordem Byronem.

- A więc zna mnie pani i myślała o mnie. To nie w porządku!

- Co nie jest w porządku?

- Pani tyle o mnie wie, podczas gdy ja nie wiem o pani nic, oprócz tego, że wygląda pani jak gwiazdka, która spadła z nieba, by zauroczyć prostego śmiertelnika.

Gracila roześmiała się, rozbawiona.

- To zawsze był jeden z moich ulubionych fragmentów. Rozśmiesza mnie, kiedy jestem przygnębiona albo... nieszczęśliwa.

Nagle przypomniała sobie, że czytała go, gdy macocha i księżę weszli do biblioteki.

Lord Damien obserwował jej twarz i po chwili odezwał się cicho:

- Coś panią wstrząsnęło i zraniło. Proszę powiedzieć, co spowodowało to cierpienie?

- Skąd... skąd pan wie? - zapytała zdziwiona.

- Pani oczy są bardzo wyraziste - odrzekł. - Mogę odczytać z nich pani myśli, choć postanowiła pani nie mówić mi prawdy.

- Ma pan... słuszność - przytaknęła zgaszonym głosem. - Niedawno wstrząsnęło mną pewne wydarzenie i dlatego... uciekłam do Barons' Hall.

- Ale, na litość boską, dlaczego akurat do Barons' Hall?

Na policzkach Gracili znów pojawiły się dołeczki.

- Bo to ostatnie miejsce, w którym by mnie szukano! Przez ułamek sekundy lord Damien wpatrywał się w nią w milczeniu, a potem zaczął się śmiać.

- Teraz rozumiem - wykrzyknął - i uważam to za wyśmienity żart, który potrafię docenić. Szukała pani w tym domu schronienia, podobnie jak ja!

- Czy dotrzyma pan obietnicy? - spytała prosząco. - W przeciwnym razie Barons' Hall przestanie być dla mnie ostoją i będę musiała stąd... wyjechać.

- Czy sądzi pani, że mógłbym jej wyrządzić krzywdę lub czymkolwiek ją zasmucić? - powiedział. - Byłaby to zbrodnia przeciw samemu niebu.

W jego głosie było coś, co ją onieśmielało.

- Proszę mi całkowicie zaufać - zaproponował. - A może powinniśmy z tym poczekać, aż się lepiej poznamy?



- Nie powinniśmy się więcej widywać.  
- Dlaczego? - zapytał. - Nikt nie musi o tym wiedzieć.  
- Ale ktoś mógłby się dowiedzieć... zobaczyć nas.  
- W takim razie musimy zadbać o to, by nikt nas nie zobaczył.

- To byłoby trudne - odparła - i... prawdę mówiąc, byłoby o wiele... łatwiej, gdybyśmy schronili się w... dwu różnych częściach domu i się nie spotykali.

- Byłoby to nie tylko nie do zniesienia, ale i okropnie nudne - oznajmił pełnym przekonania głosem lord Damien. - Już zaczęły mnie nachodzić ponure myśli, czułem się znużony i... - uśmiechnął się, nim dokończył zdanie - naprawdę uważam, że niczym prawdziwa gwiazda została mi pani zesłana, by rozjaśnić moje życie.

- Dziwne, że pan może być strapiony czy nieszczęśliwy - zauważyła cicho Gracila.

- Dlaczego dziwne?

- Bo wszyscy mówili o tym, jak oddaje się pan rozrywkom, wydaje przyjęcia, jest otoczony pięknymi kobietami...

Przerwała, gdyż zobaczyła wyraz jego twarzy.

- Przepraszam - odezwała się po chwili - jeśli powiedziałam coś, co pana... zraniło.

- Powiedziała pani to, co spodziewałem się usłyszeć i co niestety jest niezaprzeczalną prawdą.

- Dlaczego więc... martwi to pana? Zdawało jej się, że szukał słów, nim zaczął:

- Może to zbyt wiele wymagać od życia szczęścia, ale niektórzy ludzie, tacy jak pani i ja, potrzebują przynajmniej poczucia bezpieczeństwa.

- Ma pan rację! Całkowitą rację! - wykrzyknęła Gracila. - Chciałam czuć się... bezpieczna i dlatego przyjechałam do Barons' Hall.

- Ja wróciłem do Barons' Hall, bo to moja własność, ponieważ - chcę, czy nie chcę - jestem jego częścią. Tu się urodziłem.

W sposobie, w jaki wypowiedział te słowa, było coś dzikiego, okrutnego. Gwałtowne uczucia, których doznawał, zniekształciły jego twarz. Wyglądał teraz na o wiele starszego, niż był w rzeczywistości.

- A teraz, kiedy jest pan w domu - zapytała - czy rzeczy zmieniły się na lepsze?

- Czy kiedykolwiek mogą się zmienić na lepsze?! Poza tym - ciągnął, przecząc sobie - dla mnie to nie jest dom, raczej pusta skorupa. Nie mam domu. Jestem wiecznym wędrowcem na tej ziemi, człowiekiem, który potrzebuje spokoju i bezpieczeństwa, ale nie może go znaleźć!

Znów zapadła cisza. Wreszcie przerwała ją Gracila:

- Rozumiem to, co pan powiedział, i... być może odrobinę z tego, co pan czuje, ale jeżeli powodem pańskiej długiej nieobecności w domu było... to, co się wydarzyło dawno temu, wyolbrzymia pan tę sprawę.

- Naprawdę sądzi pani, że przesadzam? - zapytał lord Damien. - Przecież gdyby ktoś się dowiedział o naszych spotkaniach, musiałyby pani wyjechać. Sama pani o tym wspomniała - mówił ostrym głosem.

Ku jego zdumieniu Gracila uśmiechnęła się, a jej oczy rozbłyły radośnie.

- Jeśli chodzi o pańską obecność - wyznała - nie obchodzi mnie przeszłość, lecz to, co mogłoby wydarzyć się w... przyszłości.

- Nieprawda - zaprzeczył. - Z powodu mojej reputacji i mojego zachowania w przeszłości boi się pani o siebie albo raczej o tych, którzy jej poszukują.

- Myślę, że ich reakcja byłaby taka sama, bez względu na to, czy dopuścił się pan w przeszłości jakichś wykroczeń, czy

nie - zauważyła. - Jakkolwiek by było, nie przystoi samotnej pannie mieszkać pod jednym dachem z mężczyzną, choćby był ślepy, głuchy i głupi.

- Bogu dzięki nie zaliczam się do żadnej z tych kategorii!  
- odparł lord Damien. - Ale jestem łotrem, szubrawcem, człowiekiem bez zasad, rozpustnikiem i grzesznikiem.

Gdy tylko skończył, zaczęła się śmiać.

- A więc wie pan, co o panu mówią!

- Oczywiście.

- A jaką przyjemność sprawia im mówienie tego! - dodała. - Od dziecka słyszałam, jak rozmawiają o panu, i nie mogłam nie zauważyć podniecenia w ich głosach!

Przerwała na chwilę, po czym dorzuciła:

- Trudno wyrazić to słowami, ale dzięki panu zaznali namiastki radości życia. A ja nie sądzę, by pańskie zachowanie, cokolwiek pan zrobił, było całkiem złe.

Spojrzał na nią i nie mogąc się powstrzymać, roześmiał się.

- Czy wymyśliła to pani sama, czy cytuje czyjeś słowa?

- Zapomina pan, że nie powinnam rozmawiać o panu, nie mówiąc już o rozmowie z panem!

Ponownie się roześmiał.

- Skąd mogłem wiedzieć, że na tym świecie żyje ktoś taki jak pani! Jeśli dłużej pani posłucham, wszystkie zmory znikną i być może uwierzę w szczęście w niebie.

- Czy żałuje pan swoich złych uczynków?

- Nie chodzi o żal - odpowiedział - lecz o kompletną nudę.

- Och, nie!

- Dlaczego tak to panią poruszyło?

- Bo jeśli mówi pan prawdę, to byłaby straszliwa strata. Przez dwanaście lat przebywał pan za granicą. Przecież

chyba... rzeczy, które robił pan przez... tak długi czas, musiały sprawiać mu przyjemność.

Na ustach lorda Damiena pojawił się ironiczny uśmiech.

- Jednym słowem, usiłuje mi pani wmówić, że grzech jest przyjemnością. Część tego, co robiłem, niewątpliwie nią była, ale wszystko, choćby nie wiem jak smakowite, po pewnym czasie czerstwieje. Wtedy zaczyna się krytykować i żałować, a to wżera się człowiekowi w duszę.

Mówił ze zniechęceniem, które nagle rozżłościło Gracilę.

- Jak może pan twierdzić coś równie niemądrego, w ogóle tak myśleć na ten temat? Nie mogę wprost uwierzyć, że uważa pan tak naprawdę.

- Na jaki temat?

- Na temat pańskiego życia. Właśnie o tym cały czas pan mówi. Według pana wszystko, co zrobił, obróciło się na złe i dlatego... oplakuje pan przeszłość, zamiast... patrzeć w przyszłość!

- Nie ma po co patrzeć w przyszłość. Czego mógłbym od mej oczekiwać?

Gracila westchnęła.

- Jest tyle rzeczy do zrobienia, zobaczenia, usłyszenia, do podziwiania. Jak może pan pozwalać, by ludzie to przekreślili?

- Jak już zauważyłem - odpowiedział - jest pani jeszcze bardzo młoda. Kiedy byłem młody, też czułem tak jak pani, ale teraz się starzeję.

- Ma pan trzydzieści jeden lat! - wykrzyknęła. - Nie jest pan nawet, jak to się mówi, „w kwiecie wieku"! I pan uważa się za starca?! W takim razie żał mi pana, a teraz chyba powinnam już iść.

Chciała wstać, ale lord Damien wyciągnął dłoń.

- Niech się pani nie waży mnie opuszczać! Tyle mam pani jeszcze do powiedzenia. Tyle spraw możemy omówić, może

nawet pokłócić się o nie. Zmuszę panią, żeby pani została, choćbym miał użyć siły!

- To niesprawiedliwe - odparła Gracila. - Wie pan doskonale, że cokolwiek by uczynił, nie mogę krzyczeć o pomoc, nie mogę nawet wspomnieć Milletowi o naszym spotkaniu.

- Albo o tym, że zachowałem się dokładnie tak, jak ludzie spodziewaliby się tego po mnie.

- Nie sądzę, by to było... prawdą.

- Dlaczego?

Spojrzała na niego i odparła spokojnie:

- Wydaje mi się, że jak wielu innych ludzi stara się pan uchodzić za gorszego, niż jest w rzeczywistości. Czy uwierzy mi pan, jeśli powiem, że mam do pana... zaufanie?

- Wierzę - odrzekł - ale to niemądre z pani strony. Gracila się uśmiechnęła.

- Nie sądzę. Zawsze wiem, kiedy mogę komuś zaufać. A panu mogę.

Zacisnął usta, a potem wycedził:

- Podważa pani moją jedyną cechę, której byłem całkowicie pewny: zło, które we mnie jest.

- Przykro mi, jeśli pana rozczarowałam, ale ponieważ... lubię z panem rozmawiać, uważam to za podniecające i... interesujące, łatwiej mi powiedzieć prawdę. Faktycznie panu... ufam.

Ich oczy się spotkały i patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę.

- Miałem rację! Nie jest pani istotą ludzką, jest pani inna od ludzi, których spotykałem do tej pory.

- Pan także! - odrzekła. - Ale nie należy wyciągać z tego żadnych logicznych wniosków.

Roześmiał się.

- Bóg jeden wie, jak panią wychowano, i dlaczego - tak wyglądając - musi być pani jeszcze inteligentna! Proszę teraz opowiedzieć mi o sobie.

- Proszę mi najpierw powiedzieć, która jest godzina - odparła.

Lord Damien spojrział na nią ze zdumieniem, ale wyciągnął z kieszeni kamizelki złoty zegarek.

- Jest prawie za kwadrans pierwsza. Gracila wydała lekki okrzyk.

- Muszę wracać! Będą się zastanawiać... co się ze mną stało, i mogłabym mieć kłopoty z wyjściem do ogrodu kiedy indziej.

- Co chce pani przez to powiedzieć? Nie rozumiem. Uśmiechnęła się.

- To bardzo proste. Millet i pani Hansell postanowili, że nie powinnam się z panem spotkać. Dlatego nie wolno mi wychodzić. Ale dziś pozwolili mi na to, ponieważ miał pan pojechać aż do granic majątku i zjeść obiad poza domem.

- Faktycznie, miałem zamiar tak zrobić - przyznał lord Damien - ale jest tak gorąco, że nagle przeszła mi ochota na chleb i ser w miejscowym zajeździe i postanowiłem wrócić. W Barons' Hall przynajmniej jedzenie jest dobre.

Gracila odniosła wrażenie, że przestraszył się ciekawości ludzkiej i podniecenia, jakie mogło wywołać jego pojawienie się w którymkolwiek zajeździe w majątku.

- Gdybyśmy wrócili prawie... jednocześnie - zaczęła - Millet zdenerwuje się, że mogliśmy się spotkać, i jutro, kiedy zechcę wyjść znowu, on i pani Hansell mogą mi robić trudności, a ja... chcę tu jeszcze przyjść.

Lord Damien się uśmiechnął.

- Rozumiem. Nic mi się nie stanie, jeśli trochę zgłodnieję i wrócę do domu dopiero po południu. Czy to panią zadowoli?

Gracila uśmiechnęła się, a potem, spuszczać nieśmiało wzrok, powiedziała cichym głosem:

- Jeżeli wasza lordowska mość nie wraca... aż do wieczora, mogłabym zjeść obiad i przyjść tu...

- Cóż by to była za niespodzianka, gdybym akurat przejeżdżał tędy w drodze powrotnej albo gdybym po prostu poczekał tutaj na panią.

- Nie chciałabym, by pan przeze mnie głodował.

- Post dobrze robi duszy.

- Bardzo zajmuje się pan swoją duszą - przekomarzała się Gracila. - A może to... serce sprawia panu... najwięcej kłopotów?

- Nie, jednak nie wierzę, że spadła pani z niebios - odparł.

- Jest pani po prostu wstrętnym brzdącem, zesłanym, by mnie dręczyć!

- W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wycofać się z godnością - rzekła Gracila.

Mówiąc to, wstała. On również się podniósł.

Przez chwilę trwali w bezruchu, patrząc na siebie, i Gracila czuła, jak serce wali jej w piersi w sposób, którego nigdy przedtem nie doświadczyła.

- Jeżeli poczekam tu na panią - odezwał się w końcu lord Damien - czy obiecuje pani wrócić?

Nie mogła wydobyć z siebie głosu, więc dodał:

- Jeśli pani nie przyjdzie, i tak panią znajdę, choćbym miał rozebrać dom cegła po cegle i przesłuchać całą służbę!

- Obiecał mi pan! - zaprotestowała.

- I dotrzymam obietnicy, jeżeli pani dotrzyma swojej i wróci tu zaraz po obiedzie.

- Przyjdę - zapewniła - ale teraz muszę się już spieszyć.

Odwróciła się, ale on zatrzymał ją:

- Nie zdradziła mi pani jeszcze swojego imienia. Muszę mieć jakieś imię, którym będę mógł nazywać panią w myślach.

- Gracila - odrzekła i biegnąc pośród drzew, zastanawiała się, czy nie powiedziała zbyt wiele. Jej imię było raczej niezwykle i znając je, łatwo mógł odkryć, kim jest.

Potem uspokoiła się, że przecież dał jej słowo i na pewno go dotrzyma. Nie będzie nikogo wypytywał. Poza tym, ponieważ miała zaledwie sześć lat, kiedy wyjechał z Anglii, nie skojarzy jej z żadnym ze swoich sąsiadów, jeżeli w ogóle ich pamiętał.

Spiesząc do domu, Gracila myślała, że spotkanie 7 lordem Damienem było czymś najbardziej podniecającym i awanturnicznym w całym jej dotychczasowym życiu.

Był inny, tak zupełnie inny od wyobrażenia, jakie o nim miała. Spodziewała się też, że jego obraz, który ludzie nakreślili przed jej oczami, musi okazać się fałszywy.

Jest fałszywy - powiedziała sobie w duchu - jeśli uważają go za złego i zepsutego. On nie jest ani zły, ani zepsuty - jest po prostu rozczarowany.

Ku swemu zdumieniu odkryła odpowiednie słowo na określenie wyrazu jego twarzy, który tak ją zafrapował.

Tak, to było rozczarowanie!



## ROZDZIAŁ 4

Lord Damien rozejrzał się po obszernej bibliotece, w której zwykł przesiadywać jego ojciec. Założono ją w tysiąc siedemsetnym roku. Pozłacana sztukateria i okrągłe kasetony na suficie były dziełem Verria.

Kiedy był małym chłopcem, lubił bawić się na balkonie okalającym pokój i zbiegać po krętych schodach umieszczonych w rogu. Nie podziwiał wówczas ani wspaniałych złocień, ani rzeźbionych lambrekinów, ani też mebli, które - jak na przykład mahoniowe biurko zaprojektowane przez Williama Kenta - czyniły to miejsce niepowtarzalnym.

I teraz też nie podziwiał jego idealnych proporcji ni bogiń zabawiających się na plafonie. Słyszał głos swojego ojca. mówiącego:

- To nie może tak dłużej trwać, Virgilu. Zaczynają o was plotkować, a sam doskonale wiesz, że markiza ma w hrabstwie zbyt wysoką pozycję, by łączyć z jej imieniem jakikolwiek skandal!

Nie odpowiedział i po chwili ojciec zażądał surowo:

- Nie będziesz się z nią więcej widywał. To rozkaz! Rozumiesz? Jeśli nie, odeślę cię stąd!

Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie podda się jego woli, ojciec wprowadzi swoją groźbę w czyn, ale w tamtym momencie wiedział już, co musi zrobić, i nikt nie mógł go powstrzymać.

W drodze powrotnej do Anglii miał świadomość, że wszystko, co ujrzy, ożywi bolesne wspomnienia.

Nagle, w czasie hałaśliwego przyjęcia w Paryżu, zdecydował, że nie może dłużej pozostawać z dala od domu, i pomimo protestów innych gości wyszedł.

Zaczęło się od jakiejś absurdalnej uwagi, którą z powodu ponurego nastroju uznał za zniewagę. Gdyby kontynuował

sprzeczkę, sprawa skończyłaby się kolejnym pojedynkiem. Wyczytał to z wyrazu twarzy swojego oponenta. A Bóg jeden wiedział, że pojedynkował się w swym życiu już zbyt wiele razy i jeszcze jeden pojedynek przypomniałby mu tylko cierpienia, jakie przeżył, kiedy bił się po raz pierwszy.

Tak jak się tego spodziewał, Baron's Hall było pełne duchów: ojca, rozkazującego mu, jakby był małym dzieckiem - za małym, by rozumieć, i za młodym, by się o to obrażać; matki i jego samego.

Zgodnie z przewidywaniami również ogrody, lasy, a nawet zapach kwiatów przywodziły mu na myśl Phenice.

O bogowie, jakimż był głupcem, naiwnym i absurdalnie idealistycznym! Skąd mógł wiedzieć, że ideał, który wielbił, ma stopy zabrudzone gliną!

Pamiętał pierwszy raz, kiedy ją zobaczył.

- Chcę, byś pojechał ze mną dziś po południu - powiedział w tym właśnie pokoju jego ojciec - złożyć wizytę nowej markizie Lynmouth. Markiz jest przecież jednym z moich najstarszych przyjaciół, a ja - choć ożenił się trzy miesiące temu - Jeszcze nie złożyłem uszanowania jego małżonce.

- Czy naprawdę musimy marnować to popołudnie? - zapytał wówczas.

Zamierzał iść na ryby. Myśl o przebieraniu się i towarzyszeniu ojcu w zamkniętym powozie denerwowała go. Miał wiele ciekawszych zajęć.

- Grzeczność tego wymaga, Virgilu - nalegał lord Damien - no i wcale nie musimy zostawać tam długo.

Gdyby żyła matka, pojechałaby ona. Wiedział, jak ojciec czuł się bez niej samotny, więc bez dalszej dyskusji poszedł na górę, żeby się przebrać.

Posiadłość markiza graniczyła z ich majątkiem. Obie rezydencje łączyły też ścieżki, które miał później poznać, a które bardzo skracaly drogę.

Wtedy jednak jechali najpierw trzykilometrowym podjazdem do Barons' Hall, potem przez wieś i dalej do Lynmouth.

Dwór był wyjątkowo brzydki, wybudowany przez architekta dbającego raczej o rozmiary niż o styl. Zbliżając się do tego okazałego domu, Virgil pomyślał, że przypomina on swego właściciela. Był pełen dostojeństwa, lecz brakowało mu wdzięku!

Pamiętał, że markiz owdowiał kilka lat wcześniej. Był członkiem Izby Lordów i rząd szanował go za znajomość spraw zagranicznych. Przebywając w Paryżu, gdzie reprezentował premiera, poznał swoją obecną żonę.

Virgila niezbyt to wszystko interesowało. Był przekonany, że kobieta, którą poślubił starszy od jego ojca markiz, nie zdoła ożywić nudnego ostatnio sąsiedztwa.

W Oxfordzie młody Damien przebywał wśród kolegów o wesołym usposobieniu. Należał do klubu Bullingdon, którego członkowie spędzali czas na picu i jeździe konnej. Nie stronił również od psot i dowcipów, na które władze uniwersyteckie patrzyły krzywo, ale z których śmiali się studenci.

Był jednak dość inteligentny, aby docenić wyjątkowe udogodnienia, dzięki którym uniwersytet nie miał równego sobie na świecie. Być może zdolności intelektualne odziedziczył po przodkach z linii ojca, jednakże romantyczną stronę swej natury, dziwnie kontrastującą z niezwykłą wręcz sprawnością fizyczną, niewątpliwie zawdzięczał łagodności i wyobraźni matki oraz płynącej w jej żyłach irlandzkiej krwi. Chociaż lady Damien umarła, gdy był jeszcze małym chłopcem, przekazała mu duchową wrażliwość, odróżniającą go od rówieśników.

Zawsze się trochę wstydził uczuć, jakie wywoływały w nim muzyka i poezja. W Oxfordzie znalazł pokrewne dusze; przyjaciół, z którymi mógł wymieniać poglądy i którzy, jak się przekonał, znali się na rzeczy równie dobrze jak inni jego przyjaciele znali się na koniach, no i oczywiście na kobietach.

Wewnątrz Lynmouth było tak samo szare jak z zewnątrz. Duże ciemne meble na tle ponurych ścian sprawiały, że brakowało kolorów. Miało się wrażenie, jakby ktoś zamknął dom przed światłem i niebem.

Markiz powitał ich serdecznie. Bardzo lubił lorda Damiena, a Virgila znał od dziecka.

- Miałem zamiar do was napisać - powiedział - i zaprosić was na obiad, ale moja żona od przyjazdu do Anglii jest wciąż zmęczona i nie ma ochoty na rozrywki.

- Wszystko zależy od tego, kogo mam zabawiać - usłyszeli dobiegający spoza drzwi głos i gdy się odwrócili, ujrzeli wchodzącą do pokoju markizę.

Jej widok tak zaskoczył Virgila, że - niepomny dobrych manier - stał jak skamieniały i wpatrywał się w nią zauroczony. Zapomniał o wszystkim, z wyjątkiem jednego: oto miał przed sobą najpiękniejszą, najbardziej pociągającą i niezwykłą kobietę, jaką kiedykolwiek widział.

Nigdy się nie dowiedział, nawet kiedy już żyli ze sobą, jakiej jest narodowości. Poślubiwszy hrabiego de Costigone, który zginął w pojedynku, podawała się za Francuzkę.

Jak dobrze miał w przyszłości poznać owe pojedynki i niebezpieczeństwa z nimi związane!

Niejasne były jej losy przed poślubieniem markiza. Ciepło wspominała matkę Greczynkę, ale Virgil podejrzewał, że gdzieś głęboko w jej żyłach płynęła krew Maurów. Bez wątpienia jej ojciec i dziadek zajmowali ważne stanowiska we francuskim Algierze.

Bez względu na to, kto przyczynił się do stworzenia tej prześlicznej istoty, trzeba było podziwiać jej smukłe, giętkie ciało oraz jej ogromne ciemne oczy, które zdawały się wypełniać całą twarz tak, że nie sposób było zapamiętać rysów.

Virgil spojrział w te oczy i już był zgubiony, jak nurek, który zszedł na dno oceanu i nie ma szansy powrotu. Nie mógł się poruszyć ani przemówić, tylko stał, patrząc na nią, aż odezwała się do markiza:

- Dlaczego nikt mi nie powiedział, że tuż obok nas mieszka Apollo? Wiecie, jak tęsknię za wyspami Grecji (Wyspy Grecji - aluzja do III pieśni Don Juana George'a Byrona (przyp. tłum.)).

- Pani... lubi..., Byrona?

- Ależ oczywiście - odrzekła łagodnie. - Będziemy musieli poczytać go razem.

A potem była już tylko Phenice! Phenice! Phenice!

Nie ośmieliliby się do niej zbliżyć, gdyby ona nie uczyniła tego pierwsza, zjawiając się następnego dnia z formalnym zaproszeniem od markiza na obiad.

Nie musiała przyjeżdżać osobiście, jako że wszystko uzgodniono, jeszcze zanim lord Damien i Virgil opuścili Lynmouth. Zaproszenie mógł przecież doręczyć lokaj. Mimo to Phenice przybyła do Barons' Hall w wielkim stylu. Jej twarz okalał wysoki czepek ozdobiony tiulem, a szmaragdowozielona pelisa wspaniale kontrastowała z ciemnymi oczami.

Virgil był akurat sam w bibliotece; ojciec wyszedł do ogrodu, by wydać dyspozycje jednemu z ogrodników.

Po śmierci matki praktycznie nie przyjmowali gości i kiedy służba zaanonsowała markizę Lynmouth, młody Damien zerwał się na równe nogi, myśląc, że się przesłyszał.

A jednak przyszła, zbliżała się do niego. Jej oczy wpatrywały się w niego, czerwone usta złożyły się do uśmiechu, który zdawał się hipnotyzować go.

- Czyta pan? - spytała, widząc książkę w jego ręce. - Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam?

- Ależ nie! Jest pani bardzo mile widziana. Proszę usiąść, ojciec zaraz powinien wrócić.

- Nie poganiajmy go!

Mówiła miękkim, czarownym głosem, który zniewalał mężczyzn o wiele bardziej doświadczonych niż student Oxfordu.

- Dopiero teraz zaczynam rozumieć - powiedziała cicho - jak piękna jest Anglia o tej porze roku.

- Nigdy przedtem nie była pani w Anglii?

- Tylko w Londynie. Ale teraz widzę, ile jest jeszcze do zobaczenia.

- Czy... czy pozwoli pani pokazać sobie jezioro, las i park?

Intensywnie myślał o innych jeszcze rzeczach, które mogłyby ją zainteresować. Wpatrywała się w niego.

- Czy naprawdę zechciałby pan? Czy nie byłoby to zbyt nudne i nie zajęło panu za dużo czasu?

Nic w świecie nie było dla niego wówczas ważne oprócz rozmowy z tą cudowną istotą i chęci pokazania jej wszystkiego, co tylko zapragnęłyby zobaczyć.

Była letnia przerwa wakacyjna, mogli więc spotykać się codziennie. Markiz był zajęty pokazami, zawodami łuczników i przeglądami regimentów. Wciąż dostawał wiadomości z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które zmuszały go do wyjazdów do Londynu, gdzie oczekiwano jego rad i opinii dotyczących sytuacji w Europie.

- Jest pan dla mnie tak dobry - powiedziała Phenice. - Gdyby nie pan, byłabym tu zupełnie samotna, obca w obcym kraju.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt być z panią. Było nieuniknione, że romantyczna część natury Virgila zbudzi się pod wpływem jej urody i wdzięku. W jego umyśle stała się Afrodytą, Heleną trojańską, Kleopatram i wszystkimi pięknymi kobietami, o których lord Byron pisał:

Gdy stąpa, piękna, jakże przypomina Gwiazdziste niebo bez śladu obłoku [...] (Przekład S. Barańczaka.)

Oczarowanie! Tak można by określić jego uczucie do Phenice. Oczarowanie, które uniosło go ku górze, niczym niebiańska muzyka, i wypełniło jego umysł marzeniami o niej.

Pragnął klęczeć u jej stóp. Marzył, by dokonać dla niej wielkich czynów, by nad nią czuwać i ją chronić. Był gotów umrzeć dla niej, jeśli zaszłaby taka konieczność.

Przez myśl mu nie przeszło dotknąć jej czy ją pocałować - tak jak nie przyszłoby mu do głowy śmiać się ze świętości. Nie była wtedy dla niego istotą ludzką, lecz bóstwem! W sercu zbudował jej świątynię, czcił ją.

Kiedy po raz pierwszy podała mu dłoń - szli wtedy przez cichy, spokojny las - nie mógł uwierzyć, że podniecenie i zachwyty, jakie odczuwał, nie były dla niej obrażą. Potem, w księżycową noc, gdy opuścili towarzystwo podstarzałych graczy w karty i spacerowali przez ogrody, odkrył, że była kobietą z krwi i kości.

Później nie mógł sobie przypomnieć, czy to on objął ją ramieniem, czy ona przytuliła się do niego, w każdym razie jej głowa spoczęła na jego ramieniu, a usta uniosły się, zapraszając do pocałunku.

Wiedział tylko, że kiedy ich wargi się spotkały, ten pocałunek nie wydawał się prawdziwy. Było tak, jakby jedna

z bogiń namalowanych przez mistrza Verrio zstąpiła na ziemię.

Była to nie tyle miłość, ile uwielbienie. Dopiero potem zrozumiał, że zahipnotyzowała go, zwabiła jak pajak w swoje sieci.

Opowiedziała mu o swej samotności, o tym, jak bardzo jest nieszczęśliwa, i jaki błąd popełniła, wychodząc za męża.

Później Virgil miał się przekonać, że markiz, podobnie jak on, wpadł w sidła kobiety, która pragnęła pieniędzy i pozycji społecznej.

Ilekroć Phenice osiągała wytyczony cel, przestawał on mieć dla niej jakąkolwiek wartość. Taką już miała naturę. Być może należało winić za to dziwną mieszankę jej krwi.

Myślała, że jeśli stanie się angielską markizą, zostanie przedstawiona na dworze i będzie pełniła honorową służbę przy żonie Wilhelma IV, nie będzie niczego więcej oczekiwała od życia.

Z całą pewnością jej przyjaciółki w Paryżu pozieleniały z zazdrości, ale Paryż był daleko, a jej nigdy zbyt nie interesowała opinia kobiet.

Pragnęła mężczyzn, mężczyzn, którzy pod jej spojrzeniem stawali się niewolnikami, którzy podniecali ją i dawali jej rozkosz.

- Kochaj się ze mną, Virgil! - żądała. - Daj mi rozkosz! Rozkosz, zanim będę zbyt stara na cokolwiek oprócz nudy!

Został kochankiem Phenice w czasie przerwy świątecznej na Boże Narodzenie.

Otrzymał pilną wiadomość z zaproszeniem na kolację do Lynmouth. Ojciec był również zaproszony, ale - o czym wiedziała większość ludzi w hrabstwie - od dwóch tygodni musiał pozostawać w domu z powodu podagry i zapalenia oskrzeli.



- Czy nie masz nic przeciwko temu, że zostawiam cię samego, ojcze? - zapytał Virgil.

- Ależ nie, chłopcze. Idź i baw się dobrze. Powiedz markizowi, żeby mnie jutro odwiedził. Czuję się już dość dobrze, aby przyjmować gości, chociaż trudno uważać markiza za gościa. Chciałbym porozmawiać z nim o tym płocie na granicy naszych posiadłości.

- Dobrze, ojcze.

Starał się nie zdradzać podniecenia i radości.

Podczas semestru zimowego nie mógł pracować. Wykładowcy pytali go, co się dzieje, dlaczego stracił nagle entuzjazm do nauki, który tak w nim cenili. Jakże miał im powiedzieć, że na stronicach książek widzi zamglony obraz Phenice i jej oczy!

Włóczył się całymi dniami, myśląc tylko o niej. W nocy ukazywała mu się w snach.

Napisał do niej list, w którym powiadamiał, kiedy wraca do domu; suchy, formalny, raczej sztywny list. Obawiał się, że markiz mógłby go przeczytać.

Virgil nie wiedział zbyt dobrze, jak się układały wzajemne stosunki między małżonkami.

Jego matka uwielbiała ojca i byli ze sobą bardzo szczęśliwi, ale jakże mógł porównać Phenice do swojej matki czy do jakiegokolwiek innej kobiety, którą znał?

- Co się z tobą dzieje, Virgil? - pytali koledzy w Oxfordzie. - W tym tygodniu w teatrze są całkiem ładne aktoreczki. Wydajemy przyjęcie. Spodoba ci się!

Jego jednak nie bawiły już przyjęcia. Przyjaciele narzekali, że buja myślami w obłokach i jego zachowanie działa przygnębiająco na innych.

Czy te istoty z pomalowanymi twarzami, afektowanymi głosami i odważnymi spojrzeniami są naprawdę kobietami, tak jak Phenice - pytał sam siebie. Na ich widok robiło mu się

niedobrze i gdy porównywał je z nią, zdawały się obrażać istotę kobiecości.

Spodziewał się w Lynmouth wielkiego przyjęcia, lecz kiedy tam przybył i wręczył kapelusz oraz pelerynę odźwiernemu, ku jego zdumieniu poprowadzono go na górę.

- Pani czeka w buduarze, sir - wyjaśnił majordomus.

Serce Virgila zabiło gwałtownie, gdy idąc korytarzem, zobaczył przed sobą otwarte drzwi.

Pokój był słabo oświetlony, a w powietrzu unosiła się woń dziwnych delikatnych wschodnich perfum, których nie potrafił rozpoznać.

Phenice leżała na szezlongu. Miała na sobie przezroczystą szatę, raczej odsłaniającą niż okrywającą jej cudowne ciało. Wyciągnęła do niego dłoń.

Chciał klęknąć u jej stóp, powiedzieć, jak bardzo za nią tęsknił, jak pragnął ją zobaczyć, jak wypełniała jego myśli!

Ale najpierw była kolacja.

Potrawy wcale nie przypominały dobrze przyrządzonych, choć niezbyt smacznych angielskich dań, jakie poprzednio jadał w Lynmouth. Pomyślał jednak, że przy Phenice każde danie smakuje jak ambrozja, a każde wino - jak nektar.

Prawie nie mógł jeść, ale jego kieliszek napełniał się bez końca. Niezbyt zdawał sobie sprawę z tego, o czym wówczas rozmawiali. Gdy skończyli, służba się wycofała.

- Phenice!

Jego głos brzmiał jak głos tonącego. Nagle znalazła się w jego ramionach. Całował ją dziko, namiętnie, aż do bólu.

Rozstanie podczas semestru spędzonego w Oxfordzie, trwające - jak mu się wydawało - wieki, pogłębiło jeszcze jego tęsknotę.

Potem nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy przeszli z buduaru do sypialni i jak znalazł się na wielkim, osłoniętym baldachimem łożu, w skropionej wonnościami pościeli.

Był świadom piękna Phenice stojącej w świetle migocącego ognia; ognia, który nie tylko oświetlał pokój, lecz zdawał się rozpalać go tak, że całe jego ciało przemieniło się w szalejący wulkan, pożerający każdą myśl.

W tamtej chwili istniały tylko uczucia, a właśnie uczuć pragnęła Phenice!

Podnieciła go do szaleństwa i choć nie potrafił wydobyć z siebie głosu, każdy ruch jej ciała wywoływał w nim fale rozkoszy; drżał pod dotykiem jej głodnych ust, pod wpływem jej namiętych słów.

- Phenice! Phenice!

Noc powtarzała jej imię. Powtarzały je koła powozu i końskie kopyta w drodze powrotnej do domu.

Czy to prawda, że ta doskonała, ta cudowna, święta kobieta oddała mu się? - pytał sam siebie następnego ranka.

Chciał na kolanach dziękować Bogu za tak wielkie błogosławieństwo.

Bez przerwy powtarzał słowa Byrona:

Wiedziałem, że to miłość, i czułem, że to szczęście.

Rzadko nadarzała się sposobność następnych schadzek. Markiz powrócił, poza tym było zbyt zimno, by wędrować po lesie, a Phenice nie znosiła zimna.

Mimo to jakoś im się udawało spotykać, choć za każdym razem narażali się na niebezpieczeństwo.

Chociaż nie zaspokojony uczuciowo, Virgil przynajmniej przeżywał przygodę; w myślach porównywał się do Jazona szukającego złotego runa, do Ulissesa żeglującego w nieznane, do świętego Jerzego zabijającego smoka, a najczęściej do sir Galahada poszukującego świętego Graala.

W końcu Phenice zaproponowała, by razem uciekli. Nie wierzył własnym uszom. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że kiedykolwiek mógłby tę wspaniałą kobietę nazwać swoją.

Chciał tylko uwielbiać ją i spełniać wszystkie jej pragnienia, nie żądając niczego w zamian.

- Jak moglibyśmy zrobić coś takiego? - bąknął.

- Pragnę cię! Chcę być z tobą! - odpowiedziała gwałtownie. - Nienawidzę tego domu, nienawidzę zimna i nienawidzę... tak, nienawidzę Edwarda!

Słowa te zaszokowały Virgila. Phenice nienawidziła swojego męża, człowieka, którego nazwisko nosiła! Nigdy nie przyszło mu nawet do głowy, mimo całego nią zainteresowania, żeby być o niego zazdrosnym.

- Wydaje mi się, że Edward coś podejrzewa - dodała. - Wkrótce zabroni nam się widywać, a tego bym nie zniosła!

- Ale jak możemy wyjechać? I dokąd? Rozpostarła szeroko ramiona.

- Świat jest nasz! Pomyśl o Wenecji, o pływaniu po Canale Grande w twoich ramionach! Ach, być razem w słonecznym Rzymie! Przepłynąć Morze Śródziemne! Czemu nie? Zawsze w poszukiwaniu słońca!

- Ale jak... jak możemy stąd wyjechać? Jak mogłabyś opuścić markiza, zrzec się swojej pozycji?

- Mojej pozycji! - Phenice wzruszyła ramionami. - Cóż z niej mam, oprócz rozmów z mnóstwem nudnych wiekowych mężczyzn i kobiet? Chcę być z tobą, Virgil! Sprawiasz, że czuję coś, czego nigdy przedtem nie doznałam! Pragnę ognia, który we mnie rozpalasz! Jej głos drżał.

- Tu, w Anglii, jest tak nudno, tak zimno. Chcę wyjechać! Zabierz mnie stąd, Virgil! Proszę, zabierz mnie stąd!

Kręciło mu się w głowie. Nie mógł myśleć. Żaden pomysł, żaden plan nie przychodził mu do głowy. Chciał zrobić jej przyjemność, zaspokoić jej pragnienia, ale jak? Jak?

Wrócił do domu i ojciec rozkazał mu zapomnieć o niej, nie widywać się z nią więcej!

Teraz Virgil rozglądał się po bibliotece. Dlaczego nie posłuchał wtedy ojca? Dlaczego nie rozumiał, że chciał on jego dobra, że przemawiał przez niego rozsądek? Bo był na to za głupi.

Nie mógł zostać ani chwili dłużej w bibliotece, która spośród wszystkich pokoi najbardziej kojarzyła mu się z ojcem. Odwrócił się do drzwi i poszedł na górę, do swojej sypialni.

Spał w pokoju dawnych panów na Barons' Hall, gdyż tego się po nim spodziewano. Dawkins czekał na niego. W kominku jasno płonęły polana z drzew ściętych w jego posiadłości.

Pamiętał, jak będąc dzieckiem, obserwował pracę drwali. Gdy drzewa padały na ziemię, krzyczeli wesoło, potem odcinali gałęzie i cięli drzewo na kawałki, które później zwożono do tartaku.

- Ogień, Dawkins? - zapytał zdziwiony.

- Dzisiejszej nocy wieje zimny wiatr, proszę pana. Majowe wiatry bywają zdradliwe, jeśli nie jest się do nich przyzwyczajonym.

„Nie jest się do nich przyzwyczajonym” - wiedział co Dawkins miał na myśli: żyjąc w ciepłym klimacie, Virgil stracił dawny hart ciała.

Służący miał rację. Wprawdzie dzięki wytrwałym, ostrym ćwiczeniom, jeździe konnej i pływaniu w morzu zdołał utrzymać mięśnie w dobrej formie, ale zimno odczuwał o wiele dotkliwiej niż dawniej, kiedy na stałe mieszkał w Anglii. Pomimo wszystkich jego wysiłków słońce w pewien sposób nadwreżyło jego siły witalne.

Rozebrał się w milczeniu i jakby chciał zadać kłam słowom lokaja, odsunął zasłony i otworzył okno.

Przejmująco zimny wiatr zaskoczył go. Lord Damien zaczął kaszleć.

- Wasza lordowska mość niepotrzebnie ryzykuje - skarcił go Dawkins. - Proszę pamiętać, co powiedział lekarz, kiedy wasza lordowska mość był tak bardzo chory tamtej zimy w Neapolu.

Lord Damien odwrócił się od okna. Tamtej zimy w Neapolu chorował nie z powodu klimatu, ale dlatego, że stoczył pojedynek o Phenice i jego rywal okazał się lepszym strzelcem.

Dawkins zostawił go i Virgil położył się na ogromnym łożu z baldachimem, na którym od setek lat sypiali jego przodkowie.

Zostało ono zaprojektowane, kiedy przebudowywano dom. Kolumny podtrzymujące baldachim, rzeźbione na kształt liści palmy i połączone, zawsze wydawały mu się bardzo romantyczne.

Tak było, zanim śmiertelnie nie znudziły go palmy, ich liście kołyszące się na tle bezchmurnego nieba, ich gołe pnie, po których tubylcy jak małpy wspinali się, by zerwać orzechy kokosowe. Tęsknił wtedy za angielskim stuletnim dębem, za bukami o czerwonych liściach, za lipami, wiazami i jesionami. Wszystko było lepsze niż palmy, charakterystyczne dla gorącego tropikalnego klimatu.

Ogień rzucał na sufit dziwaczne cienie, które nagle zmieniły się w obrazy.

Widział ich pierwszy pałac w Wenecji. Myślał, że nigdy nie będzie miał dość patrzenia przez okna na kanał. Był taki piękny, taki romantyczny. Wyszukał sklep z książkami, aby znaleźć dla Phenice wiersze, których jednak nie chciała słuchać.

- Nie traćmy czasu na poezję, Virgil. Pocałuj mnie! Powiedz, że mnie kochasz! Spraw, bym to poczuła!

Jej namiętny głos rozpałał w nim ogień. Później, przez wszystkie razem spędzone lata, ten sam głos powtarzał:

- Virgil, nudzę się! Jedźmy gdzie indziej!
- Virgil, wydajmy przyjęcie, samej tak nudno!
- Virgil, spraw, bym to poczuła, podnieć mnie! Tylko dla tego żyję!

To było prawda! Pojął, że Phenice żyje wyłącznie dla odczuć, jakie nie tylko on, ale i inni mężczyźni w niej wzbudzają.

W pierwszej miłości kochanka kobieta Kocha, w następnych już miłość jedynie. (Przekład E. Porębowicza.)

Obraz się zmienił. Cofnął się do momentu, kiedy po raz pierwszy zrozumiał, że Phenice go zdradziła. Wywołał tamtego mężczyznę na zewnątrz i zastrzelił go z premedytacją! Dopiero gdy zobaczył czerwoną krew bryzgającą na białą koszulę, zadał sobie pytanie, jak mógł zachować się tak brutalnie, w tak barbarzyński sposób wobec innej istoty ludzkiej!

Potem była Phenice - płacząca, błagająca o przebaczenie.

- Nie zamierzałam tego zrobić, to... to po prostu się stało! Och, Virgil, ty jesteś wszystkiemu winien. Nie robisz nic, bym cię kochała, nie podniecasz mnie już jak dawniej!

Ten krzyk miał się powtarzać w nieskończoność.

Zawsze byli inni mężczyźni, inne zdrady, podejrzenia, które trawiły jego umysł jak nieznośna choroba. A potem przyszło jeszcze gorsze - pewność, że jego podejrzenia były uzasadnione. W końcu najbardziej poniżające ze wszystkiego - pragnienie, by o niczym nie wiedzieć, niczego nie przyjmować do wiadomości, ignorować fakty.

Byli ze sobą sześć lat, podczas których zmienił się z niewinnego, idealistycznego i głupiutkiego chłopca w cynicznego, zgorzkniałego, postarzałego duchowo mężczyznę. Phenice nauczyła go wszystkiego. Nie zostało nic, czego by nie zbrukała, nie upodliła. Był przekonany, że po edukacji,

jaka od niej otrzymał, nie było rzeczy, której by o kobietach nie wiedział.

Kiedy go zostawiła, nienawidził samego siebie, bo nie potrafił się przyznać, że jej odejście sprawiło mu ulgę.

Nie uciekła od niego - po prostu obojętnie oświadczyła, że odchodzi z mężczyzną, którego od kilku miesięcy podejrzewał o to, iż jest jej kochankiem.

Ten człowiek był Egipcjaninem, niewyobrażalnie bogatym, namiętym, wymagającym i niewątpliwie brutalnym. Tak, tego właśnie pragnęła Phenice - brutalności! Tymczasem on oferował jej łagodność.

Kiedyś, gdy doprowadziła go do wściekłości prowokacyjnym zachowaniem wobec innego mężczyzny, uderzył ją. Natychmiast poczuł do siebie odrazę, ponieważ kłóciło się to nie tylko z jego charakterem, ale i wychowaniem. Dopiero kiedy rzucił się na kolana przy kanapie, na której leżała z purpurową pręgą na twarzy, z przerażeniem pojął, że to jej się podobało!

Chciała być zdobywana. Chciała, żeby był o wiele bardziej wymagający w miłości, niż potrafił.

Owszem, potrafił być władczy w miłości, potrafił dominować, ale nie miało to nic wspólnego z traktowaniem kobiety jak rzeczy nadającej się jedynie do zabawy. A Phenice pragnęła mężczyzny bez serca, okrutnego tyrana, któremu mogłaby się poddać, jak niewolnica.

Virgil zastał ją z dwiema służącymi, zajętą pakowaniem kufrów. Kazał dziewczynom wyjść z pokoju i czekał na wytłumaczenie.

- Nie było powodu, by je odsyłać. Wiedzą o moim wyjeździe z Salimem.

- Czy sądzisz, że będziesz z nim szczęśliwa? Wzruszyła ramionami.



- Tak samo jak z każdym innym. Jest bajecznie bogaty. Dopóki z nim będę, niczego mi nie zabraknie.

- Dawałem ci wszystko, czego chciałaś.

Virgil miał ogromną fortunę, pozostawioną mu przez matkę, i ojciec w żaden sposób nie mógł pozbawić go majątku.

- Nie zależy mi na pieniądzach i klejnotach - odrzekła Phenice i uśmiechnęła się lekko.

- Wiem, czego chcesz - powiedział oschle - i zgadzam się, że nie należę do mężczyzn, którzy mogliby ci to zapewnić.

- Jesteś zbyt angielski, by to zrozumieć! Jeżeli nie pojedę teraz, będę za stara! Za stara, by coś zmienić.

Chociaż raz powiedziała prawdę.

W ciągu tych sześciu wspólnie spędzonych lat zdążył odkryć, że skłamała, mówiąc mu, ile ma lat, tak jak kłamała w innych sprawach. Przyznała się ze wstydem, niczym młodzianka dziewczyna, do dwudziestu sześciu, ale była co najmniej o sześć lat starsza. Nie musiał być matematykiem, by do tego dojść. Wystarczyło posłuchać jej opowieści o tym, co robiła w przeszłości, i o miejscach, które zwiedziła.

Teraz miała trzydzieści osiem lat i - jak wiedział - myśl o starości przerażała ją, zupełnie jakby spoglądając w lustro, widziała uciekający czas.

Uważnie obserwowała swoją twarz w poszukiwaniu zmarszczek. Przeglądała włosy na wypadek, gdyby któryś z nich posiwiiał. Używała każdej sztuczki, każdego kosmetyku, jaki znajdował się w sprzedaży, by uchronić się przed starzeniem; tego roku polowała na znachorów oferujących „eliksir młodości” po dziesięć gwinei za pudełeczko.

Phenice chciała, żeby zabił tego właśnie smoka, ale nawet jego zapach i miłość nie mogły powstrzymać nieubłaganego czasu. Jedyne, czego od niego oczekiwała, to namiętność,

ogień młodości, który dałby jej złudzenie, że jest jeszcze młoda.

Egipcjanin miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Dowiódł się prawdy, myślał zimno Virgil, jak i on się dowiedział.

Kiedy w końcu odeszła i pozostał po niej jedynie unoszący się w powietrzu zapach perfum, poczuł nie tylko ulgę, ale i samotność. Tego nie przewidział.

Pałac, nie ten, który wynajęli sześć lat wcześniej, lecz inny, w bardziej wyrafinowanym stylu, kosztowniejszy, wydał mu się nagle bardzo cichy. Przerazająco cichy! Wciąż spodziewał się usłyszeć jej głos wołający:

- Virgil, nudzę się!

- Virgil, zaproś gości na kolację. Mnóstwo, mnóstwo gości!

- Chcę mieć przyjęcie, chcę muzyki, śmiechu, gwaru! A potem nieuchronnie:

- Virgil, kochaj się ze mną. Spraw, bym czuła! Roznieć we mnie płomienie! Boję się. Boję się, że nie potrafię już niczego odczuwać!

Zaczął sam wydawać przyjęcia - hałaśliwe, pijackie bankiety, które miały zagłuszyć jego samotność, a czyniły ją jeszcze dotkliwszą.

I wtedy zauważył, że nie może uwolnić się od myśli o Barons' Hall. Zamiast radosnego gwaru i pijackiego śmiechu kompanów, słyszał turkawki nawołujące się w lesie, gawrony zlatujące się przed zachodem słońca, rżenie koni w stajniach, widział jelenia przebiegającego przez park. Lecz przyjaciele poznani w Paryżu i Rzymie opowiedzieli mu, jaki wywołał skandal i jak godnie zachował się markiz, ani razu nie wymieniwszy jego imienia.

Wyjechał więc z Wenecji, która stała się dla niego nie do zniesienia. Wyruszył zwiedzać świat. Zawsze chciał to zrobić, a teraz był panem siebie i nic go już nie powstrzymywało.

Szukał tego, co utracił. Nie znalazł, ale zdobył doświadczenie.

Znosił wiele niewygód, by pozwolić duszy napawać się pięknem Wschodu, podczas gdy jego umysł cierpiał, widząc nędzę, niewiedzę i okrucieństwo.

Płynął przeciekającym statkiem. Przedzierał się przez góry, a za nim wlokły się oporne jaki, które bez przerwy narzekający tragarze musieli ciągnąć po wąskich szlakach. Często było to bardzo niebezpieczne. Ale w ten sposób chciał sprawdzić samego siebie po tych wszystkich latach próżniactwa i cieplarnianych warunków.

Poza tym niezmiennie u jego boku znajdowały się kobiety. Przez nie nawiedzały go dawne zmory.

Wenecja, Rzym, Neapol, Paryż. Kobiety, zawsze kobiety! Kobiety dawały mu złudzenie miłości, którą poznał tylko raz i którą Phenice zabiła. Zrobiła to powoli, znęcając się nad nią, tak że na jego umyśle, sercu i duszy pozostały blizny.

Inne kobiety dały mu tę samą lekcję. Piękno jest jedynie ułudą, a pożądanie umiera równie szybko, jak się rodzi.

Kobiety, coraz więcej kobiet, wypełniających jego życie i opróżniających jego kieszenie. Jednakże patrząc wstecz, musiał przyznać, że żadna z nich nie poruszyła jego serca i zmysłów tak jak Phenice.

Czasami żałował, że przestał być pod działaniem jej czaru, jej dziwnego powabu, którym potrafiła doprowadzić mężczyznę do szaleństwa.

A potem, gdy dowiedział się, że umarła, nie miało to już dla niego najmniejszego znaczenia. „Popioły tlą się tam, gdzie palił się ogień”.

Zaskakujące, lecz kiedy doniesiono mu o jej samobójstwie, miał wrażenie, jakby chodziło o śmierć znajomej, którą ledwie pamiętał. Nic więcej!

- Co się stało? - zapytał i zaskoczył go obojętny, nieczuły ton własnego głosu.

- Salim od niej odszedł. Potem byli inni, ale coraz trudniej było ich znaleźć. Zaczęła pić i brać narkotyki, by w nich znaleźć podniecie.

Virgil widział to wszystko wyraźnie i wydało mu się niewiarygodne, że Phenice miała czterdzieści pięć lat. Czterdzieści pięć!

Wtedy zrozumiał, że nadszedł czas, by wrócić do domu. Do tej pory sądził, iż jest to niemożliwe, nawet gdy po powrocie z Indii dowiedział się o śmierci ojca. Co powiedziałby ludziom, gdyby spytali, dlaczego wrócił sam? Jak mógłby spojrzeć w twarz markizowi, mężczyźnie, którego żona opuściła dla młodziutkiego chłopca z sąsiedztwa?

Dopiero gdy wszedł do Barons' Hall, zrozumiał, że tak jak nic nie zmieniło się wewnątrz dworu, tak samo nie zmieniło się nic poza jego bramami. Phenice nie żyła, ale drzwi okolicznych domów nadal były dla niego zamknięte z powodu tego, co zrobił dwanaście lat wcześniej.

Nie byłby o tym tak święcie przekonany, gdyby nie zatrzymał się najpierw w Londynie.

- Dobry Boże! Virgil, czy to ty? - wykrzyknął napotkany po drodze do klubu kolega z Eton.

- Anstruther! Jak się masz?

- To ja powinienem zadać ci to pytanie - odrzekł Roger Anstruther. - Ale nie musisz na nie odpowiadać. Wyglądasz jak dawniej, może nawet lepiej.

Virgil roześmiał się i dodał:

- Powinno mi pochlebiać, że jeszcze mnie pamiętasz.

- Nie mieliśmy najmniejszej szansy zapomnieć o tobie.

- Nie rozumiem.

- Stałeś się legendą!

Virgil był na tyle naiwny, że poprosił o wytłumaczenie i, prawdę powiedziawszy, bardzo zaskoczyło go to, co usłyszał od przyjaciela. Nie miał pojęcia, iż wieści o jego przyjęciach czy - jak je tu zwano - „orgiach”, o kobietach, które pojawiały się na miejsce Phenice, o pojedynkach i skandalach przedostawały się do Londynu.

Roger Anstruther był brutalnie szczery.

- Starzy przyjaciele, tacy jak ja, będą zachwyceni, mogąc się z tobą spotkać, ale panie nie zaakceptują cię.

Lord Damien uniósł brwi.

- Panie?

- Cóż, na przykład moja żona. Mógłbym się uprzeć i zaprosić cię na kolację, ale nie przedstawiłaby cię swoim przyjaciółkom. Jesteś tabu, kolego! Jakkolwiek było, uciekłeś z żoną lorda porucznika.

- Dawno temu - zauważył Virgil.

- Nie dość dawno, by zapomniały o tym co starsze damy. Poza tym markiz jest teraz ważniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Przewodzi rządowemu lobby w Izbie Lordów i jestem przekonany, że póki żyje, nie masz najmniejszej szansy na powrót do towarzystwa.

Lord Damien doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co oznacza ostracyzm towarzyski. Spotkał się z nim już we Włoszech, gdzie najlepsze rodziny nie chciały przyjmować ani jego, ani Phenice. W Paryżu i w Wenecji tylko pieczeniarze, którzy poszliby na każde przyjęcie, bez względu na to, kto je wydawał, i ludzie z kosmopolitycznego półświatka przyjmowali jego zaproszenia.

Dowiedziawszy się, czego się może spodziewać, Virgil opuścił Londyn.

Mijając żelazne bramy Lynmouth, pomyślał, że markiz obmyślił zemstę o wiele subtelniejszą i skuteczniejszą niż pojedynk.

Wjeżdżając do Barons' Hall, wkraczał w świat przeszłości, ale dla niego ta przeszłość była teraźniejszością i najprawdopodobniej miała się stać także przyszłością. Phenice umarła, lecz on wciąż był jej więźniem, i wydawało się, że nigdy się od niej nie uwolni. Oto była kara, cena, jaką musiał zapłacić za wyrządzone zło!

Leżąc w łóżku swojego ojca, pierwszej nocy po przyjeździe do Barons' Hall, myślał, że im szybciej umrze, tym lepiej.

Rankiem starał się odegnąć od siebie te ponure i, jak doskonale wiedział, trochę histeryczne myśli. Mimo to, spacerując po ogromnym, wspaniałym domu, który nie zmienił się od czasów, gdy był dzieckiem, czuł się, jakby go zdradził, tak jak zdradził swojego ojca.

Nie próbował znaleźć wymówek czy zrzucać winy na Phenice. Po prostu z cynizmem stwierdził, że musiałby być herosem, by mając dziewiętnaście lat, oprzeć się požądaniu.

Z drugiej jednak strony wychowanie, jakie otrzymał, powinno dać mu dość samokontroli, aby zdawał sobie sprawę, że chociaż Phenice zapanowała nad jego ciałem, to jakaś część jego jestestwa nadal należy do Barons' Hall i dziedzictwa Damienów.

Spojrzał na portret ojca. Hrabia był na nim ogromnie do siebie podobny. Wydał się Virgilowi surowy i pełen rozczarowania. Tak musiał zapewne wyglądać, gdy myślał o swym jedynym synu.

Przebacz mi! - powiedział w duchu Virgil.

Następnego dnia, zmęczony spacerami po ogrodzie, kazał przygotować sobie konia. Pojechał do parku i odległych obszarów posiadłości.

Nie potrafił się zmusić, by odwiedzić chłopów. Na ich twarzach zobaczyłby potępienie. Nie bywał w ich domach od

lat, a oni wiedzieli, dlaczego. Mówiliby o nim, pokazywali go sobie palcami. Nie mógłby spojrzeć im w oczy.

Jeździł przez cały dzień, dzięki czemu spał lepiej niż poprzedniej nocy. Po raz pierwszy jego ciało i dusza, zmienione przez nieznośne męczarnie w pole walki, zaznały odrobiny spokoju.

Musi zdecydować, co powinien zrobić. Czy ma zostać, czy wyjechać? Czy wypełnić dom ludźmi, którzy przyjmą jego zaproszenie, a zlekceważyć tych, którzy tego nie uczynią?

Byłby to jednak szczególny rodzaj towarzystwa, podobnie jak w Rzymie i Neapolu - ludzie gotowi radośnie powitać każdego, kto ma pieniądze, zwłaszcza zaś człowieka szlachetnie urodzonego. Choćby był nie wiedzieć jak wielkim dekadentem czy rozpustnikiem, zawsze znaleźliby się kompani dotrzymujący mu we wszystkim kroku.

Może tylko jedno mu pozostało - więcej przyjąć i więcej kobiet.

Kobiety! Kobiety! Kobiety! Wszystkie takie same!

Wiedział, że nigdy nie znajdzie wśród nich tej, której zawsze szukał.

I wtedy niespodzianie, jak kropla rosy na płatku kwiatu, w jego życiu pojawiła się Gracila.

## ROZDZIAŁ 5

Gracila obudziła się z uśmiechem na ustach i zdała sobie sprawę, że miała dziwny sen. Stanowił on mieszaninę wydarzeń z poprzedniego dnia i rozbawił ją aż do łez, które spływały jej po policzkach.

Wczoraj lord Damien i ona byli nad strumieniem i łowili pstrągi.

Poprzedniego dnia Virgil odszukał w zbrojowni swoje stare wędki, nocą przeniósł je nad strumień i ukrył w wysokiej trawie.

Rano kazał osiodłać Samsona, by jak zwykle udać się na przejażdżkę. Milletowi powiedział, że nie wróci na obiad i chciałby wziąć ze sobą kilka kanapek. Majordomus chyba zdawał sobie sprawę, że jego pan nie chce być zbyt często, jeśli w ogóle, widywany w miejscowych zajazdach. Pospieszył więc poinstruować panią Bates, starą kucharkę przebywającą w Barons' Hall prawie od pięćdziesięciu lat, aby przygotowała jego lordowskiej mości obiad, który mógłby ze sobą zabrać w torbie przytroczonej do siodła.

Kilka minut później o jego planowanym wyjeździe dowiedziała się Gracila. Ponieważ lord Damien miał wrócić dopiero późnym popołudniem, otrzymała pozwolenie na wyjście do ogrodu.

- Taki dziś piękny dzień - powiedziała do pani Hansell. - Czy mogłabym wziąć ze sobą coś do jedzenia? Przykro jest wracać do domu, kiedy na dworze świeci słońce.

- Na pewno pani Bates ugotuje coś, co będzie panience smakowało - odrzekła ochmistrzyni. - Mam też mały koszyk, świetnie nadający się do spakowania prowiantu.

W godzinę później, gdy tylko jej oznajmiono, że lord Damien opuścił dom, z niepohamowanym podnieceniem Gracila ruszyła przez trawnik, trzymając w dłoni koszyk z jedzeniem.



- Niech panienka nie odchodzi zbyt daleko - upomniała ją wcześniej pani Hansell. - W południe będzie bardzo gorąco. Po ostatnich dwóch zimnych nocach mamy falę upałów. Może nadejść burza.

- Jeśli będzie burza, znajdę jakieś schronienie - obiecała Gracila. - Proszę się więc nie martwić, gdybym nie wróciła do domu.

Przedzierając się przez zarośla, pomyślała, że zabezpieczyła się na każdą ewentualność. Następnie przyspieszyła kroku. Chciała jak najszybciej zobaczyć znów lorda Damiena.

Czuła się, jakby jej bucikom wyrosły skrzydła. Miała ochotę tańczyć z radości.

Każdego dnia przebywanie z nim stawało się coraz bardziej ekscytujące. Nocami widziała go w snach, tak jak dzisiejszej nocy, we śnie, który ją rozbawił.

Poprzedniego ranka ryba złapała jego przynętę. Bawił się z nią, zapominając o gałęziach zwisających nad wodą.

Zaplątała się w nie wędka i Virgil, nie chcąc stracić pstrąga, coraz bardziej plątał żyłkę. Gracilę bardzo to ubawiło.

Śmiała się i śmiała, aż wreszcie i on się roześmiał. W efekcie jednak ryba uciekła z muszką w pysku.

- Jak śmiesz śmiać się ze mnie? - zapytał, kiedy opanowawszy się, odzyskał wreszcie oddech.

- Nie masz pojęcia, jak zabawnie wyglądałeś - odpowiedziała.

Potem, nie mogąc się powstrzymać, znów wybuchnęli śmiechem.

To wszystko było urocze - myślała teraz Gracila.

Lord Damien złapał jeszcze dwa pstrągi, które owinęli w liście szczawiu i upiekli nad ogniem. Wydawało im się bardzo zabawne, że oboje sparzyli sobie palce i że jedna z ryb się przypaliła, a druga spaliła na węgiel.

Mieli mnóstwo jedzenia: kanapki przygotowane dla jego lordowskiej mości, placki oraz miseczkę galaretki, które pani Bates zrobiła dla Gracili. Podzielili się wszystkim, włączając w to butelkę wina.

Lord Damien nalegał nawet, by wypła z jego manierki odrobinę brandy, przechowywanej w piwnicach, jak zapewniał, od czasów jego dziadka. Najlepszej brandy, jaką gdziekolwiek można było dostać.

Nie smakowała jej, ale wypła troszeczkę, żeby zrobić mu przyjemność. Wtedy uniósł manierkę i powiedział:

- Za twój śmiech i twoje oczy! Dwie najpiękniejsze rzeczy na świecie!

Zarumieniła się i spuściła wzrok. Nastąpiła krepująca cisza. Nagle nie mieli sobie nic do powiedzenia. Gracila wiedziała, że w jej sercu dokonała się jakaś dziwna przemiana.

Krótkie chwile ciszy zdarzały się przez całe popołudnie, mimo to słońce wydało się jej jaśniejsze, a kwiaty piękniejsze niż zwykle.

Zanim wrócili do domu, Virgil oznajmił:

- Zastanawiałem się wczorajszej nocy, co by się stało, gdyby spadł deszcz i nie moglibyśmy wyjść z domu.

- Ja też o tym myślałam - przyznała cicho Gracila.

- Czy wpadłaś na jakiś pomysł? Potrząsnęła przecząco głową.

- Pani Hansell zdziwiłaby się, gdybym wyszła z domu w deszcz. Poza tym jestem pewna, że domek letni przecieka.

- W takim razie musisz poznać mój plan - powiedział.

Najwyraźniej cieszył się, że rozwiązał problem, z którym ona nie dała sobie rady. Uniosła ku niemu oczy i czekała.

- Nie wiem, dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej - zaczął. - Zresztą, dotąd nie było takiej potrzeby.

- O czym?

- O tym, że z łatwością i niepostrzeżenie możesz się dostać do zachodniego skrzydła.

- Musiałabym przejść przez główne schody, a tam zazwyczaj stoi lokaj.

Uśmiechnął się triumfalnie.

- I tu się właśnie mylisz! Wcale nie musisz przechodzić przez główne schody.

- Jak to?

- Możesz pójść na górę, aż do najwyższego piętra. Gracila krzyknęła cicho.

- Nie przyszło mi to do głowy!

- Wczoraj po kolacji wszystko sprawdziłem - oznajmił. - Jest trochę kurzu, ale możesz przejść przez cały dom, mijając pokoje służby, i zejść po schodach na końcu zachodniego skrzydła.

- Wiem doskonale, gdzie to jest! - zapewniła. - Schody wychodzą naprzeciwko biblioteki!

- Dokładnie. I tam będziemy się spotykać.

- W bibliotece?

- Będę na ciebie czekał.

- Wspaniale! Poza tym tak się składa, że potrzebuję nowych książek do czytania. Przeczytałam wszystkie, które były w komnacie elżbietańskiej.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Zaśmiała się.

- Co byś zrobił? Kazałbyś Milletowi przynieść trochę książek dla panienki, która mieszka w twoim domu?

- Wolałbym sam ci je przynieść - odparł przyciszonym głosem.

- A pani Hansell, która śpi w sąsiednim pokoju? Wiesz, co by na to powiedziała!

Zdał sobie sprawę, że zrozumiała jego słowa tak, jak rozumiałoby je dziecko. Była tak niewinna i czysta. Nawet

przez myśl jej nie przeszło, że może istnieć jakiś inny powód, dla którego chciałby przyjść do jej sypialni.

- Spotkamy się zatem w bibliotece - oznajmił - ale przykro mi, że książki są jedynym powodem, dla którego chcesz tam przyjść. Miałem nadzieję, że bardziej cenisz moje towarzystwo.

- Ależ cenię twoje towarzystwo! - zapewniła skwapliwie.  
- Samotne wieczory jednak bardzo by mi się dłużyły, gdybym nie mogła czytać.

- A teraz, dzięki mojej inteligencji, będziesz mogła je spędzać na rozmowach ze mną.

- Byłoby wprost cudownie! Chciałabym, żebyś opowiedział mi o Indiach i innych miejscach, które zwiedziłeś. Może też udałoby się znaleźć w bibliotece książki na ten temat?

- Na pewno jest książka o Indiach - przyznał. - Powinna cię zainteresować. Poszukam również innych.

Gracila klasnęła w dłonie.

- To najbardziej fascynująca rzecz, jaka mi się przydarzyła. Nie będę musiała używać wyobraźni, aby zobaczyć miejsca, które mi opisziesz. Będę słuchać i jednocześnie patrzeć.

Zastanawiał się, ile kobiet spotykałoby się z nim potajemnie jedynie po to, by uczyć się geografii.

Było to dla niego nowe doświadczenie. Pragnął opowiedzieć jej nie tylko o Indiach i innych miejscach, które zwiedził, ale i o miłości. Wtedy zdał sobie sprawę, że nie tylko kocha Gracilę, lecz także czuje do niej coś, czego nie wzbudziła w nim dotąd żadna kobieta. W jego umyśle i sercu znów znalazło się miejsce dla młodzieńczych ideałów, które teraz powróciły w pogłębionej, bardziej realistycznej formie.

Gracila była jak kwiat - mówił sobie - delikatny kwiat, który łatwo mogły skrzywdzić brutalne palce lub gwałtowne

wichry. Jej słowa brzmiały niczym muzyka, którą słyszał jeszcze długo po jej odejściu. Jej oczy, zwrócone ku niemu, były jasne i uczciwe, jak oczy dziecka, oczy prawdy.

Przyciągały go właśnie jej niewinność i czystość, ale jako mężczyzna pragnął również obudzić w niej kobiecość.

Zatrzymał oczy na jej ustach. Jakby odgadując jego myśli, Gracila odwróciła wzrok, rumieniąc się lekko.

Lord Damien z trudem wstał i powiedział nagle:

- Lepiej posprzątajmy po naszym posiłku, w przeciwnym razie jakiś przypadkowy przechodzień mógłby pomyśleć, że odbyła się tu uczta.

- Najwspanialsza uczta, w jakiej kiedykolwiek uczestniczyłam.

- Zgadzam się z tobą w zupełności - odparł. - Była przepyszna.

Pomyślał o pieniądzach wydanych na wystawne przyjęcia w Wenecji oraz na tak zwane orgie w Paryżu, gdzie szampa lał się strumieniami i pełno było smakołyków z całego świata, które miały pobudzić przytępiony smak biesiadników. Rankiem pojawiał się nieodłączny ból głowy - wynik nie tylko nadużywania wina, lecz także wchłaniania dymu z papierosów i zaspokajania żądz cielesnych.

Obrazy, które stanęły mu przed oczami, były tak straszne, że z przerażeniem pomyślał, co by się stało, gdyby Gracila mogła je zobaczyć.

Ale zaraz powiedział sobie, iż wystarczy oderwać oczy od brudu, nędzy, rozpusty i unieść je do gwiazd, zwłaszcza do jednej małej gwiazdki, tak różniącej się od pozostałych.

Gracila była pod urokiem jego zmiennych nastrojów, ciszy i dziwnego wyrazu jego oczu. Dotychczas nie zdawała sobie sprawy, że mężczyzna może być tak przystojny, tak męski, a jednocześnie zdolny wejrzeć w tę część jej umysłu, którą

dotąd trzymała w tajemnicy przed ludźmi, bo nikt przedtem nie potrafił jej zrozumieć.

Lord Damien nie tylko słuchał, ale także wiele rzeczy jej wyjaśniał. Tak więc, gdy nadchodził czas rozstania, wracała do domu, czując, że jej umysł się wzbogacił i że Virgil otworzył przed nią niebiosy, czego nikt jeszcze nie dokonał.

Zobaczę go wkrótce - myślała Gracila, gdy pani Hansell weszła do pokoju, by odsunąć zasłony.

- Mokra dziś, panienko - oznajmiła. - Spodziewałam się tego. W nocy szalała burza.

- W nocy była burza? - zdziwiła się Gracila.

- A była, panienko, i padał ulewny deszcz. Ogrody całe stoją w wodzie.

Gracila się uśmiechnęła. Jeszcze wczoraj byłaby rozczarowana, że nie może wyjść na zewnątrz. Teraz jednak mogli się spotkać w bibliotece, jak zaproponował lord Damien.

- Mam straszliwe wiadomości, panienko! - ciągnęła pani Hansell, odsuwając drugą zasłonę.

- Co się stało?

Gracila nagle przeraziła się, że wytropiono jej kryjówkę.

- Chodzi o królową, panienko. Mogliśmy ją utracić.

- Królową?! - powtórzyła dziewczyna, niczego nie rozumiejąc.

- Właśnie dostarczono gazety. Jakiś szaleniec strzelał w parku do jej królewskiej wysokości.

- Czy zranił ją? - spytała Gracila z trudem łapiąc oddech.

Ochmistrzyni przecząco pokręciła głową.

- Bóg był łaskaw, a królowa jest taka dzielna. Aż strach pomyśleć, na jakie niebezpieczeństwo się wystawiła.

- Proszę mi o tym opowiedzieć - wyraziła życzenie zafrapowana Gracila. - Proszę opisać dokładnie, co się wydarzyło.

Interesowała się młodą królową od początku jej panowania. Sześć lat temu fascynowały ją wszelkie opowieści o tym, jak pełne rygorów i zamknięte życie kazała wieść księżniczce Wiktorii jej matka. Kiedy miała ona osiemnaście lat i nagle zmarł król, z dnia na dzień zamieniła szkolną ławę na tron.

Gracila nie była wyjątkiem. Cały kraj uważał królową Wiktorię za królową z bajki. Wszyscy byli pewni, że wraz z jej panowaniem rozpocznie się nowa era, era pokoju i dobrobytu dla Anglii.

Od wiejskiej chaty po zamek powtarzano bez końca opowieści o młodej władczyni. Jej wycinane z gazet podobizny i oleografie sprzedawano w każdym sklepie, przechowywano jak najdroższy skarb. Można je było spotkać prawie wszędzie.

Najpierw ogarnęło ludzi podniecenie związane z koronacją. Potem, ku jeszcze większej radości poddanych, odbył się jej ślub z mężczyzną, którego kochała.

W całej Anglii nie było dziewczyny, która nie uważałaby, że królowa, poślubiając Alberta i nie godząc się, by narzucono jej kandydata na męża, jak to się zdarzało nie tylko wśród monarchów, lecz i w każdej arystokratycznej rodzinie w kraju, otworzyła bramy dla miłości.

Gracila zadawała sobie pytanie, dlaczego nie poszła w ślady królowej i nie nalegała, by pozwolono jej samej wybrać sobie męża. Zgodziła się na ślub z księciem tylko dlatego, że ojciec i macocha uważali go za dobrą partię.

A teraz młoda królowa, nosząca na swoich delikatnych ramionach ciężar rządów, była w niebezpieczeństwie!

- Co się stało? - zapytała Gracila ponaglająco, zanim pani Hansell zdążyła się odezwać.

- Sądząc z tego, co Millet mi przeczytał - zaczęła ochmistrzynie uradowana, że może udzielić jej informacji -

przedwczoraj, podczas przejażdżki z księciem Albertem przez Pall Mall, jej królewska wysokość zobaczyła, jak jakiś ogorzały mężczyzna o podejrzanym wyglądzie celuje pistolet w jej stronę.

- Czy wystrzelił?

- Nie - odrzekła pani Hansell. - Najwyraźniej pistolet nie wypalił, a ten człowiek zniknął w tłumie.

- I nikt go nie zatrzymał? - spytała oburzona Gracila.

- Ktoś powinien był to zrobić, panienko - zgodziła się pani Hansell. - Moim zdaniem zbyt sobie lekceważą bezpieczeństwo jej królewskiej wysokości.

- Proszę, niech pani mówi dalej, pani Hansell.

- Więc, jak donoszą gazety, jej królewska wysokość była przekonana, że on spróbuje jeszcze raz i chociaż książę starał się ją odwieść od tego zamiaru, nie potrafiła spokojnie wytrzymać, mając świadomość czyhającego na nią niebezpieczeństwa.

- Dobrze ją rozumiem - mruknęła Gracila.

- Wczoraj - ciągnęła ochmistrzyni - dostojna para przejechała dokładnie tą samą trasą co poprzednio, tylko że tym razem dama dworu królowej, lady Portman, pozostała w pałacu.

- Królowa wykazała ogromną troskę o lady Portman.

- Od początku wiedziałam, że jej królewska wysokość będzie miała wzgląd na poddanych - zapewniła pani Hansell.

- Co się stało?

- Mężczyzna znów wystrzelił, tym razem z odległości półtora metra.

- Czy ją zranił?

- Nie! Pistolet wydał tylko głuchy trzask i wtedy go złapali. Prasa donosi, że broń była nie naładowana.

- Nie naładowana! - wykrzyknęła Gracila. - W takim razie ten człowiek musiał być szaleńcem!



- Tak właśnie piszą reporterzy. Dowiemy się czegoś więcej, kiedy dojdzie do procesu.

- Aż strach pomyśleć, jak to się mogło skończyć - powiedziała cicho Gracila.

- Powinno się odprawić mszę dziękczynną w każdym kościele w kraju - oświadczyła pani Hansell.

- Zgadzam się z panią. Mogliśmy utracić królową. Było coś romantycznego i podniecającego w tym, że po okresie rządów wiekowego Wilhelma VI, który zupełnie nie miał królewskiego wyglądu, na tronie zasiadła młoda kobieta.

- Na szczęście nasza władczyni jest cała i zdrowa! Tak się cieszę - zapewniła Gracila z uczuciem w głosie.

- Tak, byłoby prawdziwą tragedią, gdyby jej królewska wysokość nie mogła przyjechać tu jutro,

- Jutro! - wykrzyknęła Gracila.

- Chyba panienka wie, że królowa otwiera szpital w Newbury, a potem bierze udział w przyjęciu na świeżym powietrzu wydawanym przez lorda porucznika, markiza Lynmouth.

- A tak, oczywiście! - odparła dziewczyna. - Słyszałam o tym, ale nie pamiętałam dokładnej daty.

Nagle uświadomiła sobie, że właśnie dziś, trzydziestego pierwszego maja, miał się odbyć jej ślub!

W podnieceniu towarzyszącym przygotowaniom do ceremonii zapomniała o przyjeździe królowej do hrabstwa. Zresztą nie sądziła, by mogła wziąć udział w uroczystościach, byłaby już wtedy przecież w podróży poślubnej.

Teraz przypomniała sobie, jak macocha z zadowoleniem mówiła o tym, że nie wyznaczono ślubu na pierwszego czerwca, bo trzeba byłoby wszystko odwoływać, a to z pewnością przyniosłoby nieszczęście.

Tak więc dzisiaj miała poślubić księcia. Ceremonię musiano odłożyć, ale Gracila bynajmniej nie uważała tego za nieszczęście. Wręcz przeciwnie.

Być może w tej właśnie chwili ubierano by ją do ślubu z człowiekiem, który interesował się jej macochą. Poczwała dreszcze.

Godząc się na małżeństwo, nie zdawała sobie sprawy, co ono oznacza. Teraz miała niezachwianą pewność, że związek dwojga ludzi musi być oparty na miłości.

Pani Hansell przyniosła tacę ze śniadaniem i postawiła ją koło łóżka.

- Cały czas myślałam o jej królewskiej wysokości, panienko - powiedziała przepaszająco - i zupełnie zapomniałam, że dziś miał się odbyć ślub panienki.

- Jakże byłoby ponuro - odrzekła Gracila, patrząc przez okno. - Nie mogłabym przejechać przez wioskę w otwartym powozie. Wielu ludziom zepsułoby to zabawę.

- Nie żałuje panienka tej ucieczki?

- Nie, nie żałuję - odparła Gracila. - Dziękuję Bogu, że w porę dowiedziałam się o przeszkodzie nie pozwalającej mi na małżeństwo z księciem oraz za to, że pani i Mitty zaopiekowaliście się mną.

- Ale przecież kiedyś będzie panienka musiała wyjść za mąż - stwierdziła pani Hansell. - Wczoraj w nocy powiedziałam Milletowi, że nigdy dotąd nie widziałam, żeby panienka tak ładnie wyglądała. Widać wypoczynek i świeże powietrze służą panience.

- To dlatego, że jestem tu szczęśliwa - odrzekła Gracila i po chwili dodała: - z wami.

Nie mówiła całej prawdy. Był jeszcze ktoś, dzięki komu była szczęśliwa. Ktoś, z kim pragnęła przebywać, i pragnienie to z każdą chwilą stawało się coraz silniejsze.

- Skoro pada, panienko - podjęła ochmistrzyni - może dobrze by było, gdyby panienka popracowała trochę w spiżarni i pomogła mi w robieniu przetworów.

Prawdę mówiąc, Gracila sama zaproponowała pani Hansell swoją pomoc nazajutrz po przyjeździe do Barons' Hall. Sądziła, że sprawi jej tym przyjemność, a sobie skróci długie godziny spędzane w domu wtedy, kiedy służba nie miała pewności, gdzie przebywa jego lordowska mość.

Pani Hansell miała ostatnio bardzo dużo pracy i Gracili trudno byłoby znaleźć dobrą wymówkę i nie spełnić jej prośby. Ponieważ ochmistrzyni Barons' Hall czekała na jej odpowiedź, po chwili odrzekła:

- Z przyjemnością popracuję dziś rano w spiżarni, a jeśli po południu nadal będzie padało, odpocznę w swoim pokoju.

- Bardzo rozsądnie, panienko - pochwaliła pani Hansell. - Dobrze się składa, bo ja też będę zajęta tego popołudnia. Już uprzedziłam Hetty, że trzeba się zająć pościelą. Zupełnie o tym zapomniałam, a przecież jego lordowska mość wrócił tak niespodzianie, no i panienka zatrzymała się u nas.

- Obawiam się, że sprawiłam pani dużo kłopotów - uśmiechnęła się Gracila, słusznie oczekując protestów ochmistrzyni.

Myśl o tym, że musi pracować w spiżarni, zamiast przebywać w tym czasie z lordem Damienem, doprowadzała ją do szaleństwa. Miała jednak przeczucie, że nie spodziewał się jej tego ranka. Jak się później okazało, pomimo deszczu wyruszył o jedenastej na przejażdżkę konną. Wtedy, kiedy stracił nadzieję na jej przyście. Ale wieczorem, była tego pewna, będzie na nią czekał.

Podniecenie wywołane perspektywą spotkania z nim odebrało jej apetyt; z trudem zdołała zjeść smakołyki przygotowane na obiad przez panią Bates.

Wydawało jej się bez sensu, że siedzi tak w swoim pokoju, podczas gdy lord Damien je samotnie w jadalni. Byłoby tak wspaniale być razem - myślała. - Śmiać się i rozmawiać. Tyle rzeczy chciała mu powiedzieć, ale jakoś nigdy nie było na to czasu.

Pani Hansell zabrała tacę.

- Teraz proszę odpocząć, tak jak panienka obiecała, i nie męczyć sobie oczu jedną z tych panienki książek. Snu panience potrzeba, ot co!

- Spróbuję - przyrzekła Gracila.

Ochmistrzyni zabrała tacę, a Gracila weszła do swojej sypialni. Czekala, aż w korytarzu ucichnie odgłos ciężkich kroków, po czym przekręciła klucz w drzwiach, na wypadek gdyby pani Hansell wróciła, i na paluszkach, chociaż była prawie pewna, że nikt jej nie usłyszy, przedostała się korytarzem do schodów prowadzących na górę.

Tak jak powiedział lord Damien, korytarz ciągnący się na ostatnim piętrze domu był zakurzony, a drzwi do pokoi zamieszkiwanych niegdyś przez liczne pokojówki, kucharki i pomywaczki - zamknięte.

Wszystko to wywarło na Gracili przykre wrażenie.

Przyspieszyła kroku. Pokonawszy liczne zakręty, w końcu dotarła do drugiej części domu i znalazła schody bliźniaczo podobne do tych, którymi wchodziła na górę. Zeszła na drugie piętro, potem na pierwsze i wreszcie na parter.

Właśnie tutaj istniało największe niebezpieczeństwo, że ktoś mógłby ją zobaczyć, na przykład Millet albo któryś z lokajów usługujący akurat jego lordowskiej mości w bibliotece. Kiedy jednak wyjrzała zza balustrady schodów, szeroki korytarz prowadzący do hallu był pusty.

Za biblioteką, mieszczącą się na końcu budynku, znajdowała się już tylko oranżeria. Przekradła się przez korytarz i weszła do sali bibliotecznej.

Lord Damien czekał na nią.

- Gracila! Wiedziałem, że przyjdiesz.

Zerwał się z krzesła, a ona poczuła nieodparte pragnienie, by podbiec doń i rzucić mu się w ramiona. Z trudem zapanowała nad sobą i zamknawszy drzwi, spokojnie podeszła do kominka.

- Wiedziałem, że przyjdiesz - powtórzył. - Czekałem rano, a potem udałem się na przejażdżkę.

- Tak, wiem. Pani Hansell poprosiła, żebym pomogła jej w spizarni, nie mogłam więc odmówić.

Rozmawiali o błahostkach, ale ich oczy mówiły zupełnie Co innego. Zawstydzona jego spojrzeniem, Gracila odwróciła się i rozejrzała po pokoju.

- Ilekroć przychodzę do tej biblioteki - odezwała się - myślę, jak tu pięknie. Odkąd sięgam pamięcią, przypatrywałam się boginiom na suficie i myślałam, jak wspaniale się bawią, unosząc się wśród chmur razem z kupidynami.

Mówiąc to, zadarła główkę. Widok jej wdzięcznej szyi zaparł mu dech w piersi.

Nagle powiedział zmienionym głosem:

- Na litość boską, dlaczego musisz tak wyglądać. Nie mogę tego dłużej znieść!

- Jak wyglądać? - zapytała zaskoczona.

- Czekałem na ciebie i każda chwila zdawała mi się wiecznością - mówił. - Teraz, kiedy cię ujrzałem, zrozumiałem, że muszę odejść.

- Odejść?! - powtórzyła jak echo Gracila. - Ale dlaczego? Nie rozumiem!

- Nie mogę się z tobą dłużej spotykać. Nie chcę cię skrzywdzić, a siebie skazać na piekielne katusze.

Patrzyła na niego skonsternowana.

- Nadal nic nie rozumiem.

- W takim razie wyłożę to jaśniej - oznajmił pełnym cierpienia głosem. - Kocham cię, Gracilo! Kocham, jak nigdy dotąd nikogo nie kochałem i nie będę kochać, lecz nie mam ci nic do zaofiarowania.

Przez chwilę myślała, że źle zrozumiała jego słowa. Potem jej twarz pojaśniała, zupełnie jakby w oczach zapłonęło tysiąc świec.

- Ty mnie... kochasz? - wyszeptała.

- Czyż mogło być inaczej? - spytał. - Och, najdroższa, nie sądziłem, by na świecie znalazł się ktoś taki jak ty - tak czysty, idealny, niewinny! Dlatego nie możesz zostać moją!

- Ty... ty mnie kochasz - powtórzyła Gracila - i teraz wiem, że ja...

Głos jej zamarł, więc lord Damien poprosił:

- Powiedz to! Pozwól, bym usłyszał te słowa choć raz, bym mógł zapamiętać je na zawsze!

- Kocham cię - wyznała. - Dotąd nie zdawałam sobie z tego sprawy, chociaż w głębi duszy wiedziałam o tym od początku.

Stał, wpatrując się w nią. Nigdy nie podejrzewała, że w oczach człowieka może się kryć tyle rozpacz.

- Kochasz mnie, prawda? - spytała jak dziecko, które boi się, że źle usłyszało to, co do niego powiedziano.

- Kocham cię do szaleństwa! Jestem rozdarty wewnątrz - odrzekł.

- W takim razie... dlaczego chcesz odejść?

- Już mówiłem, nie mam ci nic do zaofiarowania.

Wpatrywała się w niego błyszczącymi ze szczęścia oczami. Ruszył ku niej ze słowami:

- Wiem, o czym myślisz, ale najdroższa, cudowna moja miłości, to niemożliwe! Jak mógłbym zaproponować ci małżeństwo i jakież by ono dla ciebie było?!

- Kocham cię - odrzekła Gracila - i dlatego nigdy... nigdy nie mogłabym poślubić innego.

- To nieprawda - zaprzeczył gwałtownie. - Wyjdiesz za mąż za człowieka, który będzie godzien twojej urody.

- Nie. Nigdy nie mogłabym pokochać innego mężczyzny.

- Jesteś jeszcze taka młoda - przekonywał. - Nie rozumiesz miłości, tak jak ja ją rozumiem, i z pewnością o mnie zapomnisz.

- Nigdy! Nigdy! - przerwała mu Gracila. - To o tobie zawsze marzyłam. Wierzyłam w twoje istnienie. Ty jesteś mężczyzną, którego widziałam oczami duszy, gdy czytałam książki. Teraz moje marzenia stały się... rzeczywistością. Jesteś tu... ze mną.

- Przestań! - wykrzyknął. - Przestań o tym mówić. Kusisz mnie, Gracilo. Kusisz, bym wyzbył się resztki uczciwości, choć Bóg jeden wie, jak niewiele jej we mnie zostało.

- Cierpiełaś - kontynuowała - ale może udałoby mi się sprawić, byś był... szczęśliwy.

Lord Damien uniósł dłoń do twarzy, jakby chciał osłonić się przed jej błagalnym spojrzeniem, przed drgającymi wargami.

- Postaraj się być rozsądna, Gracilo. Pomyśl, jakie czekałoby cię ze mną życie: wykluczona z towarzystwa, przenosząca się wciąż z miejsca na miejsce, bez poczucia przynależności. Nie miałabyś prawdziwego domu.

- Możemy mieszkać tutaj - zaproponowała nieśmiało.

- I wszystkie domy w kraju będą przed nami zamknięte? Ludzie szyderczo wytykaliby cię palcami, ilekroć wyszłabyś poza bramy Barons' Hall.

Spojrzał na nią i zapytał:

- Czy sądzisz, że moja miłość jest tak słaba, bym miał poświęcić cię zamiast siebie samego? Moja najdroższa, kocham cię i dlatego muszę odejść. Zrobię to jutro. Prawdę

mówiąc, gdybym miał choć odrobinę rozsądku, uczyniłbym to jeszcze dziś wieczorem!

- Nie! - krzyknęła Gracila. - Nie zniosę tego! Nie mogę cię... utracić!

Z wyrazu jego twarzy wyczytała, że podjął już decyzję, i czując, jak szczęście wymyka jej się z rąk, z rozpaczą ciągnęła:

- Nigdy ci nie mówiłam, dlaczego tu jestem, a ty nigdy nie pytałeś.

- Chciałem, byś mi ufała - odrzekł po prostu.

- Ufałam ci i ufam nadal, ale pragnę zawierzyć ci całe moje życie.

- Powiedz, co masz mi do powiedzenia - odezwał się, jakby nie mógł się zmusić, by ustosunkować się do jej ostatnich słów.

- Jestem Gracila Shering - wyznała. - Moim ojcem jest hrabia Sheringham, który był bliskim przyjacielem twojego ojca.

- Pamiętam go - rzucił zdawkowo lord Damien.

- Moja mama umarła i ojciec ożenił się po raz trzeci z osobą, której nigdy nie lubiłam - kontynuowała Gracila.

Z trudem przychodziło jej mówienie o sobie. Wiedziała, że nie wpłynie to na zmianę decyzji Virgila - nie interesowało go nic oprócz cierpienia, jakie odczuwał na myśl o rozstaniu z nią.

Szybko, jękając się trochę, opowiedziała mu o tym, jak zgodziła się wyjść za księcia; i o tym, jak przez przypadek podsłuchawszy rozmowę w zamkowej bibliotece, zrozumiała, że w takich okolicznościach nie może być mowy o małżeństwie.

- Nie miałam dokąd pójść - kończyła - i wtedy pomyślałam o Millecie, który był u nas zawsze, odkąd sięgam pamięcią.



- Więc to on ukrył cię tu, w Barons' Hall.
- Na początku nie chciał się zgodzić, zdecydował się dopiero, kiedy mu powiedziałam, że boję się sama jechać do Londynu... nie mając pieniędzy - zapewniła go.
- Jak mogłaś uciec w takich okolicznościach?
- Cóż innego mogłam zrobić?
- Masz rację, oczywiście masz rację - odparł. - Ale przyjechać tutaj i dowiedzieć się, że ja także tu przebywam, to raczej nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Gracila wzięła głęboki oddech.

- Według mnie to przeznaczenie - stwierdziła. - Przeznaczenie, któremu powinniśmy wyjść naprzeciw i zrozumieć, że należymy do siebie.

Wymawiając te ostatnie słowa, zaczerwieniła się.

- Może w jakimś poprzednim wcieleniu było to możliwe, ale nie teraz, nie w tej chwili - zauważył z goryczą.

Wyciągnął ręce przed siebie, jakby rzucał wyzwanie całej swojej przeszłości, i powiedział:

- Bóg wie, że zasłużyłem sobie na taką karę! Kara idealnie odpowiada zbrodniom. Znalazłem cię i muszę cię opuścić.

- Jak możesz nam coś takiego zrobić? - zapytała z rozpaczą. - Jak możesz... odejść i zostawić mnie... samą?

- Bo nie mogę zostać i cię kochać.

Wydał z siebie odgłos, który przypominał na wpół płacz, na wpół jęk.

- I tak było mi trudno przebywać z tobą tak długo i nie dotknąć cię, nie pocałować.

- Dlaczego tego... nie zrobisz?

- Bo kocham cię zbyt mocno i nie chcę cię uczynić nieszczęśliwą.

- Nie chcesz uczynić mnie nieszczęśliwą, a opuszczasz mnie?

- Myślałem, że będziemy kontynuować naszą grę, udawać, że jesteśmy jedynie przyjaciółmi. To była wspaniała zabawa. Dziś rano jednak, kiedy nie przyszedłeś, byłem jak pusta skorupa. Czułem nieodparte pragnienie ujżenia cię.

Westchnął.

- Z ogromnym trudem powstrzymałem się przed pobiegnięciem do twojego pokoju, by po prostu sprawdzić, czy tam jesteś. By zobaczyć twoją twarz.

- A ja... ja chciałam - zaczęła Gracila - ja myślałam o tobie przez cały czas, kiedy robiłam sos korzenny, konserwowałam buraki i marynowałam cebulę.

Lord Damien nie potrafił powstrzymać się od śmiechu.

- Ach, najdroższa! - wykrzyknął. - Jak możesz mówić coś tak absurdalnego. Ja mówię o śmierci z miłości do ciebie, a ty o konserwowaniu cebuli!

- Takie jest życie - odparła Gracila. - Wszystko się ze sobą wiąże. Ale przebywanie z tobą jest tak... wspaniałe, zupełnie jakbym była... w raju!

Zbliżył się do niej o krok i przez chwilę sądziła, że weźmie ją w ramiona. Widać jednak jego wola była dość silna, bo odezwał się tylko, niemal gniewnie:

- Jak długo według ciebie trwałby ten raj? Ty tego nie możesz zrozumieć. Przez dwanaście lat znosiłem takie życie, jakie musielibyśmy wieść, i wierz mi, to nie jest raj, to piekło!

Gracila milczała, on tymczasem kontynuował:

- Sądzisz, że pozwoliłbym, by splamiło cię towarzystwo ludzi, którzy chcieliby utrzymywać z nami kontakty? Patrząc, jak wyzbywasz się złudzeń co do życia i miłości? Miłości, która teraz zdaje się święta!

- Jest święta! - zapewniła Gracila z mocą. - A ponieważ ty szukałeś miłości, ja zaś zawsze jej pragnęłam, nie utracimy jej.

- To niemożliwe. Kocham cię i jesteś dla mnie świętością, najdroższa moja, muszę więc myśleć rozsądnie za nas oboje.

- Ale dlaczego musisz wyjechać?

- Bo nie mogę zostać w Anglii i nie widywać cię! I jeszcze dlatego, że przy tobie... wszystkie moje zasady i chwalebne postanowienia poszłyby na wiatr. Gdy bowiem chodzi o ciebie, Gracilo, nie jestem dość silny!

Westchnął i mówił dalej:

- Jestem straszliwie, beznadziejnie, szaleńczo zakochany i jako taki nie ręczę za swoje czyny!

Namiętność jego głosu przyprawiła Gracilę o dreszcze. Nie mogąc znieść widoku jego cierpienia, podeszła do niego.

- Zostań ze mną, proszę... zostań - błagała, unosząc ku niemu twarz. - Pojadę z tobą wszędzie... choćby na koniec świata. Nie boję się... niczego, kiedy ty jesteś ze mną.

Patrzył na nią. Jego twarz przybrała ponury wyraz, jakby odrzucenie jej prośby sprawiało mu nieznośny ból.

Nagle odwrócił się od niej gwałtownie i podszedł do okna.

- Przestań mnie kusić, Gracilo. Kiedyś przypomnisz sobie, że to nie diabeł kusił ciebie, lecz ty diabła!

Przegrała!

Stała w bezruchu tam, gdzie ją zostawił, mając wrażenie, jakby nagle znalazła się sama wśród nieprzeniknionych ciemności.

- Jeśli zastanawiasz się, co się ze mną stanie, wyobraź sobie, że zapijam się na umór na szalonych przyjęciach, na które spraszam wszelkie oczajdusze, szumowiny i pieczeniary. - W jego głosie brzmiała gorzycz. - Będą tam także kobiety! Oczywiście, że będą kobiety. Może, jeśli będę miał dość szczęścia, one i wino pomogą mi zapomnieć.

Wypowiadając te słowa, odwrócił się i spojrzał na nią. Miał zaostrome rysy twarzy, wykrzywione szyderczo usta.

I wtedy zobaczył wyraz twarzy Gracili, wyraz jej oczu. Wyglądała tak, jakby niespodzianie cały jej świat legł w gruzach, a ona została sama, pełna przerażenia i lęku.

Przez chwilę stał i patrzył na nią z dala, aż nagle znalazł się tuż przy niej.

- Moja ukochana, mój skarbie! Nie bądź tak smutna - błagał. - Nie chciałem tego. Zapomniałem, do kogo mówię! Zapomniałem, że nie wiesz, jak nisko może upaść zrozpaczony człowiek!

Mówiąc to, objął ją i Gracila, jęknąwszy cicho, jakby była czymś przestraszona, przywarła do niego i wtuliła twarz w jego ramiona.

- Kocham cię! Kocham cię tak bezgranicznie, tak całkowicie! - wyszeptał lord Damien, dotykając ustami jej włosów. - Życie bez ciebie będzie dla mnie niczym przepaść i pozostanie mi tylko nadzieja, że jak najszybciej zginę w tej otchłani.

Gracila zastygła w bezruchu, ale on wiedział, że płacze.

- Przebacz mi, najdroższa! Kochana, przebacz! Nie jestem wart jednej twojej łzy. Ty płaczesz z mojego powodu. Na swój sposób to najcudowniejsza rzecz na świecie.

Dla niej najcudowniejszą rzeczą na świecie była jego bliskość, jego ramiona, w które mogła się wtulić. Słowa Virgila nie potrafiły rozproszyc ciemności, w jakiej pograżył się jej umysł, ale jego objęcia dawały poczucie bezpieczeństwa, które przed chwilą zniknęło, wtrącając ją w rozpacz nie do opisania.

- Jak mogłem cię zranić? - zastanawiał się lord Damien. - Jak mogłem być tak okrutny? Moja mała gwiazdeczko, oddałbym życie, by ci oszczędzić jednej chwili smutku, a doprowadziłem cię do płaczu.

Czułość w jego głosie sprawiła, że jej oczy jeszcze bardziej wezbrały łzami. Ujął jej twarz i uniósł ku swojej.

- Spójrz na mnie, Gracilo!" - rozkazał. - Spójrz na mnie!

Otworzyła oczy zamglone od łez, które błyszczały też jeszcze na podwiniętych długich rzęsach i spływały po policzkach.

Przez chwilę jakby zabrakło mu słów.

Potem, kiedy tak stali, wpatrując się w siebie z bliska, odezwał się łagodnie:

- Kocham cię i wielbię. Jesteś wszystkim, czego mógłby zapragnąć mężczyzna, moja miłości, moja gwiazdka. Musisz uwierzyć, kiedy ci mówię, że nie wolno mi zniszczyć czegoś tak pięknego, tak świętego.

- Kocham cię - wyszeptała Gracila.

- Powiedziałaś też, że mi ufasz - odparł. - Dlatego musisz zaufać mi i tym razem, najdroższa. Uwierz, że wiem, co jest dla ciebie najlepsze.

- Odjedziesz?

- Muszę - tym razem jego głos był spokojny i nieskończenie smutny.

- Ale jak mam żyć... bez ciebie? Jak mogłabym kiedykolwiek być... szczęśliwa, kiedy mnie... opuszczasz?

- Jesteś bardzo młoda - rzekł - a młodzi zapominają!

- Czy ty zapomniałeś?

Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

- Jesteś nie tylko piękna, ale i mądra. To jeszcze jeden powód, dla którego cię kocham. Nie, nie potrafiłem zapomnieć. Wierzę jednak, że tobie uda się zapomnieć, a ja postępuję słusznie, tak jak chciałaby tego twoja matka, gdyby żyła.

- Mama chciałaby, żebym była... szczęśliwa.

- Na pewno nie chciałaby, abyś się stoczyła, a tak niewątpliwie by się stało, gdybyś mnie poślubiła.

Wpatrywała się w jego oczy. Chociaż wciąż trzymał ją blisko siebie, czuła, jak oddala się od niej.

- Proszę... proszę, ożeń się ze mną - błagała. Przyciągnął ją do siebie, a jego ramiona objęły ją mocniej. Myślała, że ją pocałuje. Ale on tylko przytulił policzek do jej czoła i głosem odmienionym przez cierpienie powiedział:

- To musi być nasze pożegnanie, moja miłości, moja jedyna teraz i na wieki!

## ROZDZIAŁ 6

Gracila czekała w swoim pokoju. Co chwila zerknęła na zegar kominkowy, wiedząc, że za dziesięć dziesiąta będzie mogła zejść na dół, do ogrodu.

Poprzedniego wieczoru, kiedy lord Damien powiedział jej, że będą musieli się rozstać, stała się dorosłą kobietą. W jego głosie słyszała rozpacz i smutek. Przestała rozmyślać o sobie i swoim własnym szczęściu, myślała tylko o nim.

Gdy ją opuści, na jego twarz powróci rozczarowanie, świadczące o braku jakichkolwiek złudzeń. Mówił prawdę - rzuci się w otchłań zniszczenia.

Współczucie i zbudzone nagle uczucia macierzyńskie podpowiadały jej, że musi mu pomóc. Ale jak? Niestety, które ją spotkało, przeszkadzało skupić myśli i znaleźć jakiś sposób.

Pragnęła być w jego ramionach. Wiedziała, że nigdy nie zazna takiego poczucia bezpieczeństwa, jakie on mógł jej zapewnić.

Gdy jej oznajmił, jaką podjął decyzję, z nadludzkim wysiłkiem powstrzymała łzy i znalazła dość sił, by powiedzieć cichym głosem:

- Jeśli musisz mnie... opuścić, czy dasz mi przedtem... prezent?

- Wiesz, że dam ci wszystko, o co poprosisz, jeśli tylko będzie to w mojej mocy - odrzekł.

Rozpacz słyszalna w jego głosie i emanująca z całej jego postaci sprawiła, że Gracila zażądała stanowczo:

- Chcę, abyś ofiarował mi... pięć godzin.

- Pięć godzin? - spytał zdumiony. Wyswobodziła się z jego objęć, by spojrzeć mu w twarz. Jeszcze nic w życiu nie przyszło jej z takim trudem.

- Jutro do Newbury przyjeżdża królowa - zaczęła tłumaczyć - i służba zamierza cię spytać, czy będą mogli

wziąć powóz. Najpierw zobaczą królową, a potem będą stać przed bramą Lynmouth.

Lord Damien słuchał, ale Gracila czuła, jak bardzo pragnął znów trzymać ją w ramionach. Widząc ból w jego oczach, chciała go objąć, przytulić do siebie.

- Mogą iść, oczywiście, że mogą - odparł takim tonem, jakby sprawa nie warta była wzmianki.

- Wtedy... zostaniemy sami - ciągnęła. Splotła dłonie, jakby chcąc się w ten sposób uspokoić, i kontynuowała:

- Pragnę, żebyś po naszym rozstaniu pamiętał jedynie te szczęśliwe chwile, które spędziliśmy, śmiejąc się nad strumieniem, przekomarzając się, prześcigając w przytaczaniu cytatów. Kiedy świat zdawał się... pełen słońca.

Wymawiając ostatnie słowa, nie potrafiła opanować drżenia głosu.

Oto, co do tej pory było ich udziałem - słońce i śmiech!

- Tak właśnie będę zawsze o tobie myślał - zapewnił. - Słońce w twoich włosach i oczach, i twój śmiech, najcudowniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałem.

- Czy podarujesz mi te pięć godzin? - błagała. - Pięć godzin, abyś pozostał nie tylko w moim sercu i w mojej wyobraźni, ale i na wieki... w mej pamięci.

Ich oczy się spotkały i żadne z nich nie mogło myśleć, póki Gracila, zdając sobie sprawę, ile go to kosztowało, nie oswobodziła ich spod działania tego czaru, mówiąc łagodnie:

- Nie wolno nam zniszczyć wspomnień, nie możemy zniszczyć tego, co na zawsze pozostanie dla mnie najwspanialszym... doświadczeniem, jakiego zaznałam.

- Będiesz miała swoje pięć godzin, najdroższa - przyrzekł lord Damien.

- Złapiemy pstrąga i przygotujemy go na obiad - powiedziała Gracila - a potem moglibyśmy zajrzeć przez płot i



zobaczyć królową w Lynmouth, jeśli krzaki nie rozrosły się za bardzo.

- Zobaczysz królową - obiecał stanowczym głosem. Spojrzała na niego pytająco.

- Nie ma potrzeby, abyś zaglądała przez płot graniczny - wyjaśnił. - Zobaczysz królową z lotu ptaka, z bocianiego gniazda.

- Z bocianiego gniazda?

- Tak dobrze znasz moją posiadłość - odrzekł - że miło mi, iż jest przynajmniej jedna rzecz, o której nie wiesz.

- Bocianie gniazdo! To brzmi intrygująco.

- Sądzę, że spodoba ci się.

- Gdzie ono jest? Dlaczego nigdy o nim nie słyszałam?

- Najwyraźniej mój ojciec zapomniał o nim - stwierdził Virgil. - Ja byłem ostatnią osobą, która z niego korzystała. Jestem o tym przekonany.

Z zewnątrz przeniknął wiatr i napełnił pokój chłodem. Lord Damien poruszył się po raz pierwszy od chwili, gdy wziął ją w ramiona, i stanął plecami do ognia trzaskającego w ogromnym marmurowym kominku.

- Mój dziadek i drugi markiz Lynmouth - zaczął - kłócili się o granicę między obiema posiadłościami, która na skutek dziwacznych planów gruntów w jednym miejscu wdziera się w ogrody markiza. Stało się tak z powodu strumienia, który - jak ci zapewne wiadomo - płynie przez las i skręca w prawo, w stronę Lynmouth.

- Tak, wiem - przyznała Gracila.

- Markiz chciał, by granica przebiegała po tej stronie strumienia, lecz mój dziadek się uparł, że strumień pozostanie na terenie naszej posiadłości.

Gracila wiedziała, jak zażarcie dwaj właściciele ziemscy potrafią walczyć o błahą z pozoru sprawę, która jednak dla nich ma ogromne znaczenie.

- Obydwaj panowie stracili panowanie nad sobą - ciągnął Virgil - i w końcu markiz powiedział: „Nie pozwolę, żebyś zaglądał do moich ogrodów, bo to zapewne jest jedynym powodem, dla którego upierasz się, by przesunąć granicę niemalże pod moje okna!”

Uśmiechnął się i kontynuował opowieść:

- Poniosło ich i, o ile mi wiadomo, do końca życia nie rozmawiali ze sobą.

- Co było później? - spytała zaciekawiona Gracila.

- Mój dziadek służył kiedyś w marynarce - podjął znów lord Damien - i aby dokuczyć markizowi, postanowił wybudować bocianie gniazdo, z którego istotnie można było obserwować dwór Lynmouth.

- Teraz rozumiem, w jaki sposób zobaczę królową - zaśmiała się Gracila.

- Bocianie gniazdo wybudowano dokładnie na granicy, na najwyższym drzewie, jakie dziadek znalazł - wyjaśnił Virgil. - Bardzo wątpię, czy dopiąwszy swego, starszy pan kiedykolwiek z niego korzystał, ale miało być wyzwaniem rzuconym markizowi i z pewnością spełniło swoje zadanie.

- Czy wciąż tam jest?

- Było, kiedy wyjeżdżałem z domu - odrzekł lord Damien - i to, o ile pamiętam, w całkiem dobrym stanie. Nasz cieśla naprawił wszystkie szkody spowodowane przez czas i pogodę.

Przerwał, przypomniawszy sobie, jak użyteczne okazało się bocianie gniazdo, kiedy sekretnie spotykał się z Phenice, a przesyłanie listów było jeśli nie niemożliwe, to przynajmniej bardzo utrudnione.

Umówili się, że zawsze, gdy markiz wyjeżdżał i Phenice mogła przyjść na spotkanie u granicznego płotu, kładła białą chusteczkę na parapecie swojej sypialni, której okna wychodziły na ogród. Czekający w bocianim gnieździe Virgil

mógł z łatwością dojrzeć dany mu znak, zjawić się w wyznaczonym miejscu i wziąć kochankę w ramiona.

Często myślał o tych długich godzinach oczekiwania, kiedy serce mocno mu biło w piersi na myśl o rychłym spotkaniu. Na widok Phenice idącej trawnikiem, z małą parasolką w dłoni, krew uderzała mu do głowy i ogarniało go trudne do opanowania podniecenie.

Skąd miał wiedzieć, że później będzie przeklinać to bocianie gniazdo, które tak bardzo ułatwiało im schadzki?

Teraz postanowił wejść na nie razem z Gracilą i wywołać innego ducha, aby w przyszłości, wspominając je, mógł myśleć tylko o niej.

- Brzmi intrygująco! - powtórzyła Gracila, jak dziecko, któremu obiecano wspaniałą zabawę. - Zawsze chciałam zobaczyć królową, a ponieważ miałam wyjść za mąż, nie byłam na przyjęciu w zeszłym miesiącu, na którym zostałabym jej przedstawiona.

- Będiesz mogła zjawić się na takim przyjęciu w przyszłości - zapewnił ją ze smutkiem w głosie lord Damien.

Zapragnęła go pocieszyć.

- To mało prawdopodobne - odrzekła.

- Nie zdecydowaliśmy jeszcze, co zrobisz po moim wyjeździe - powiedział - lecz zamierzam cię przekonać, abyś wróciła do domu.

- Nie mówmy o tym teraz - poprosiła. - Nie chcę zepsuć tych pięciu godzin, które dostałam, rozmową o rzeczach przykrych.

- Ależ kochanie, muszę myśleć o twojej przyszłości. Gracila pokręciła głową.

- Nie! - odparła. - Odmówiłeś w niej uczestnictwa i dlatego możesz zajmować się tylko terażniejszością.

Usiadła, gdyż nogi odmówiły jej posłuszeństwa, i wtedy on powiedział:

- Musisz być rozsądna, najdroższa. Nie powinnaś dłużej ukrywać się w Barons' Hall. Sama mówiłaś, że możesz pojechać do Londynu lub w jakieś inne miejsce.

- Potrzebuję jedynie kogoś, kto by... się mną zaopiekował  
- mruknęła Gracila.

- Wiem - oznajmił szorstkim głosem - ale to nie mogę być ja.

Jeszcze raz zapragnęła błagać go, by pozwolił jej dzielić z nim życie. Zrobiłaby wszystko, aby mogli być razem. Zbyt mocno go jednak kochała, żeby pogłębiać jego cierpienia, i zamiast tego powiedziała:

- Myśl o mnie tak jak na początku, jak o zbiegłej gwiazdzie. Gwiazdy zawsze znajdują swoje miejsce na firmamencie.

Wyczuła, że miał zamiar spierać się z nią, prosić, by zachowywała się rozsądnie, ale powstrzymał się. Gracila spojrzała na zegar kominkowy.

- Muszę wracać do swojego pokoju. Pani Hansell przyniesie mi wkrótce podwieczorek. Zdziwiłaby się, gdyby zastała drzwi zamknięte.

- Czy przyjdiesz do mnie później, kiedy będą przekonani, że już śpisz? - zapytał szybko.

Pokręciła przecząco głową.

- Lepiej nie, to by tylko pogorszyło naszą sytuację. Dostrzegła w jego oczach rozczarowanie, więc dodała:

- Zawsze byliśmy razem w świetle słońca. Chcę iść spać i czekać na jutrzejszy dzień. Myśleć, jak wspaniale będzie nam razem, zanim... zanim powiemy sobie „żegnaj”.

Zrobił krok w jej stronę, jakby ta nieznośna myśl jeszcze raz kazała mu wziąć ją w ramiona. Zacisnął szczęki.

- Kiedyś, gdy będziesz starsza, zrozumiesz, że podjąłem właściwą decyzję.

- Bez względu na to, jak długo będę żyła - odpowiedziała Gracila - zawsze będziesz dla mnie człowiekiem wyznającym szczytne ideały, mężczyzną szlachetnym i wspaniałym, którego... Kocham i... podziwiam.

Głos załamał jej się przy ostatnich słowach. Wstała i wybiegła z pokoju, nim mógł ją powstrzymać.

Łzy zalewały jej oczy. Biegła w górę po schodach i przez zakurzone korytarze. Dopadła do swojej sypialni, otworzyła drzwi i rzuciła się na łóżko. Płakała dopóty, dopóki nie zabrakło jej łez.

Wieczorem z trudem się powstrzymała, by nie zmienić zdania i nie zejść na dół.

Świadomość, że Virgil siedzi teraz samotnie w bibliotece, a ona z łatwością może do niego dotrzeć, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, stanowiła pokusę, której musiała się opierać całą siłą woli i całym sercem. Kobięca intuicja podpowiadała jej jednak, że jej obecność byłaby dla niego torturą. Gdyby uległa swoim pragnieniom i gdyby on się załamał, stanowiłoby to ogromny cios dla jego męskiej godności. Nigdy przedtem nie odmawiał sobie niczego, a to wyrzeczenie wynikało z miłości większej i głębszej niż jakiegokolwiek uczucie, którego doświadczył w swoim życiu. Była o tym przekonana.

Zostaliśmy dla siebie stworzeni - myślała. - Dlaczego los jest tak okrutny i rozdziela nas, zmusza do życia z dala od siebie?

Chociaż nie znała jeszcze konwenansów obowiązujących w świecie arystokracji, wiedziała, że gdyby im przyszło wieść takie życie, jakie odmalował jej lord Damien, ich idealna miłość zostałaby prędzej czy później zniszczona.

Być może sama miłość przetrwałaby, ale nie byłaby już tak niebiańska, tak święta jak uczucie, które żywili do siebie teraz.

Nie mogła zasnąć. Przez całą noc próbowała znaleźć jakieś wyjście, które pozwoliłoby im uniknąć rozłąki i spokojnie żyć w Barons' Hall. Wiedziała, że Virgil też nie śpi i łamie sobie głowę nad tym samym.

Gracila nie potrafiła wyobrazić sobie nic wspanialszego niż życie u jego boku i pomaganie mu w obowiązkach i zajęciach, które przypadłyby mu w udziale, gdyby mógł zająć należną mu pozycję w hrabstwie i w Izbie Lordów.

Jej ojciec był zawsze zajęty, nie tylko doglądaniem własnej posiadłości, lecz także uczestnictwem w komitetach zajmujących się sprawami hrabstwa oraz wystąpieniami w Izbie Lordów,

Takie życie stałoby się udziałem lorda Damiena, gdyby w wieku dziewiętnastu lat nie odrzucił go dla kobiety niewartej podobnego poświęcenia.

Nigdy jej nie mówił bezpośrednio o Phenice, lecz Gracila, zdecydowana dowiedzieć się o nim czegoś więcej, przeprowadziła rozmowę z panią Bates, która przybyła do Barons' Hall na długo przed jego urodzeniem.

- Jaki to był śliczny chłopczyk, panienko - wspominała z rozrzewnieniem kucharka. - A kiedy dorósł, trudno było znaleźć przystojniejszego mężczyznę w całutkim kraju.

Westchnęła głęboko, wyrabiając ciasto.

- Wszyscyśmy tu świata poza nim nie widzieli. To był dla nas straszny wstrząs, kiedyśmy się dowiedzieli, że wyjechał z markizą.

- Czy widziała ją pani?

- A tak, widziałam, panienko, i im mniej się o niej powie, tym lepiej! Żeby kobieta w jej wieku prowadziła się z chłopcem, co to ledwie wąż mu się sypnął! Wstyd i zgroza! Zaraz to powiedziałam, jakem tylko usłyszała, i dotąd nie zmieniłam zdania.

Pani Bates opowiadała o przyjęciach organizowanych na Boże Narodzenie, podczas których „panicz Virgil” rozdawał prezenty nie tylko służbie, ale wszystkim w całej posiadłości.

Mówiła, jak wiele życzliwości okazywał ludziom i ile trudów poniósł, by uchronić przed deportacją chłopca schwytanego na kłusownictwie.

- Złote serce, taki był panicz Virgil! Ale zawsze znaleźli się tacy, co go wykorzystywali - dodała kucharka gorzko.

Cofanie się w przeszłość nie ma sensu - powiedziała sobie Gracila. Teraz chciała pomóc lordowi Damienowi stawić czoło przyszłości, choć właśnie na to jej nie pozwalał.

W nocy wiele razy wstawała z łóżka, żeby sprawdzić, czy deszcz przestał padać. Gdyby nie było jutro słońca, nie mogliby wyjść z domu i cały plan ległby w gruzach.

O piątej rano złote palce jutrzeńki rozdarły zasłonę mroku i gwiazdy zaczęły blednąć.

Gracila z całych sił starała się powstrzymać uczucie, że jest to dla nich znak nadziei. Czy mogła mieć nadzieję na coś więcej niż te pięć godzin, które jej obiecał? Pięć godzin słońca!

Obydwoje musimy nacieszyć się tym czasem - zganiła samą siebie.

Postanowiła nie dać mu po sobie poznać, jak bardzo cierpiała i jak pragnęła zmienić jego decyzję o wyjeździe.

Jak mam pozwolić mu odejść? Jak będę bez niego żyła? - zastanawiała się.

Ale powiedziała sobie, że gdyby robiła sceny, gdyby płakała, zraniłaby go tylko jeszcze bardziej. Tak postąpiłyby inne kobiety, zwłaszcza markiza.

Przebywając z lordem Damienem przez tych kilka ostatnich dni, nie mogła nie zauważyć, że pozostał idealistą, choć był przekonany, iż po przeżyciach, których doświadczył, stracił wszelkie złudzenia.

- Gdybyśmy tylko mogli być razem, zapomnielibyśmy o przeszłości - szepnęła.

Wiedziała jednak, że ten pomysł nie zda się na nic, tak jak jej wczorajsze łzy.

Ubrała się w jedną z najładniejszych sukien, pamiętając, że bladoniebieski najlepiej harmonizuje z kolorem jej oczu i podkreśla przezroczystość cery. Starannie ułożyła włosy. Chciała, aby zapamiętał je błyszczące niczym promienie słoneczne, i otarła z twarzy łzy.

Wyglądała pięknie, bo była zakochana. Jak by on to ujął: uczucia promieniowały z niej jak światło promieniowało z gwiazdy.

Zegar kominkowy wskazywał za dziesięć jedenastą. Mogła już iść.

Lord Damien właśnie wyjechał na Samsonie. Służba musiała być w połowie drogi do Newbury. Gracila została w domu sama. Wzięła mały koszyk z prowiantem, który zostawiła jej pani Hansell. Potem, rzuciwszy ostatnie spojrzenie w lustro, zbiegła na dół po schodach wiodących do ogrodu.

Wszystko wokół pachniało świeżością po wczorajszym deszczu. W powietrzu unosił się zapach bzów. Ich kwiaty można było znaleźć wszędzie. Wiatr porozrzucał je po ziemi tak, że pokryły ją niczym liliowy dywan.

Tego poranka Gracila nie zatrzymywała się, by dotknąć kwiatów magnolii czy popatrzeć na drzewka migdałowe. Chciała jak najszybciej dotrzeć do Virgila i nie tracić ani jednej cennej sekundy z tych pięciu godzin, które jej podarował.

Czekał już na nią w tym samym miejscu co zawsze. Samson, całkiem zadowolony, skubał trawę koło strumienia.



Pobiegła ku ukochanemu. Wyłaniając się spośród drzew, wydała mu się nagle Persefoną, przybywającą, aby rozproszyć zimowe ciemności.

- Jesteś... tu!

Biegła tak szybko, że zdyszała się i z trudem udało jej się wymówić te słowa. - Ty także! - odrzekł, wpatrując się w jej twarz.

- Przyniosłam jedzenie - oznajmiła, wręczając mu koszyk. - Powiedziałam pani Bates, że mam ogromną ochotę na brzoskwinie, które właśnie dojrzały w szklarni.

- Wziąłem ze sobą wyjątkowe wino z piwnic - uśmiechnął się Virgil. - Wstawiłem je do strumienia, aby się schłodziło. Mam również przygotowaną wędkę, więc możemy złapać sobie obiad, tak jak poprzednio.

Uśmiechnęła się do niego.

Rozmawiali zupełnie zwyczajnie, ale każde słowo zdawało się mieć głębsze, bardziej intymne znaczenie.

- Wiem, o czym zapomniałaś - powiedział.

- O czym?

- O dywaniku, na którym mogłabyś usiąść - odrzekł. - Wczorajszej nocy padało, więc szkoda byłoby, gdybyś zniszczyła sobie sukienkę.

- Ależ jesteś przewidujący! - wykrzyknęła. - Ja nigdy bym o tym nie pomyślała.

Wziął dywanik z siodła Samsona i rozłożył go na trawie w miejscu, gdzie poprzednio siadywali. Potem podniósł wędkę.

- To byłoby doprawdy upokarzające, gdybym akurat dzisiaj okazał się niefortunnym wędkarzem - zauważył.

- Jestem pewna, że zawsze udaje ci się wszystko, czego się podejmujesz.

- Pochlebiasz mi!

- Nawet nie próbuję. Mówię po prostu to, co myślę.

- Niegdyś miałem pewne zdolności - jak by powiedział lord Byron, „powieść smucąca jedynej cnoty i zbrodni tysiąca (Przekład A. E. Odyńca.)” - lecz dawno je zapomniałem.

- Dlaczego więc ich nie wskrzesisz?

- Co zatem proponujesz, bym uczynił?

Pytanie zabrzmiało cynicznie i Gracila wiedziała, że nie oczekiwał od niej żadnej konkretnej odpowiedzi.

Usiadła na dywaniku i przez chwilę lord Damien miał wrażenie, że oślepią go promienie słoneczne odbijające się w jej włosach.

- Ostatniej nocy myślałam - odezwała się - o tym, co mi opowiedziałeś o swoich podróżach. Kiedy jestem sama, przypominam sobie to wszystko i śmieję się na wspomnienie niektórych opisów.

Słuchał jej, więc kontynuowała:

- Na przykład śmieszy mnie historia o jakach, które nie chciały iść pod górę, albo o żaglach porwanych na strzepy podczas sztormu na Morzu Czerwonym i o wielbłądzie, który - korzystając z waszej nieuwagi - pożarł tygodniową rację żywności!

Zaśmiała się i dodała:

- Czyż nie rozumiesz, że innym ludziom, którzy muszą spędzać czas w domu, czytanie o twoich przygodach sprawiłoby równie wielką przyjemność?

Nie odpowiedział, więc ciągnęła:

- Na zawsze zapamiętam słowa, jakimi opisałeś groźny urok Himalajów, piękno Tadź Mahal i Szmaragdowego Budę w Bangkoku. Złożyła ręce i rzekła:

- Proszę, spisz swoje przeżycia! Napisz książkę. Być może niektóre rzeczy, które widziałeś, najlepiej byłoby opisać wierszem.

- Nie jestem Byronem!

- Nie, ale jesteś Damienem, na swój sposób równie oryginalnym jak on.

Przerwała na chwilę.

- Kiedyś identyfikowałam cię z lordem Byronem, ale teraz wiem, że jesteś zbyt wielkim indywidualistą, by żyć w czyimkolwiek cieniu. Jesteś sobą i chcę, by tak pozostało.

Virgil westchnął.

- Gracilo! Gracilo! - powiedział łamiącym się głosem. - Gdybym znał cię przedtem! Jakże inaczej mogłoby ułożyć się moje życie.

- Być może zagaworzyłabym do ciebie z kołyski - zauważyła żartobliwie - albo pobawiła się z tobą w chowanego, ale nie sądzę, aby wywarło to na ciebie jakiś większy wpływ.

Lord Damien nie potrafił powstrzymać się od śmiechu.

- Chyba trochę dramatyzuję - stwierdził - i masz rację, żartując ze mnie. Ach, najdroższa, ubóstwiam. gdy mnie rozśmieszasz.

- Ja również mam ochotę się pośmiać - odparła - więc rozbaw mnie, próbując złowić pstrąga... i uważaj na drzewa.

Roześmiał się i zrobił, jak prosiła.

Obserwując go myślała, że żaden mężczyzna nie jest tak atrakcyjny jak on i żaden nie mógłby sprawić, by jej serce było tylko dla niego.

Mając większe niż poprzednio doświadczenie, tym razem lepiej przyrzadzili pstrągi, które złowił Virgil. Wypili schłodzone w strumieniu wino i zjedli prowiant przyniesiony z domu, ale żadne z nich nie myślało o tym, co je.

Gracila, zdecydowana nie pozwolić, by smutek zniszczył ich ostatni wspólnie spędzany dzień, postanowiła rozśmieszać ukochanego i nawet jej się to udawało. Lecz gdy ich oczy się spotykały, przerywali w pół zdania i zapominali o wszystkim oprócz tego, że są blisko siebie.

Za kwadrans druga lord Damien zerknął na zegarek i oznajmił, że powinni ruszyć w stronę bocianiego gniazda.

- Czy zabierzemy ze sobą Samsona? - zapytała Gracila.

- Ja go poprowadzę - odpowiedział - ale wszystkie rzeczy zostawimy tutaj. Zabierzemy je w drodze powrotnej.

Gracila westchnęła. Kiedy ruszą w drogę powrotną, będzie to oznaczało, że minęło już pięć godzin i z chwilą gdy przekroczy próg Barons' Hall, nie ujrzy go więcej.

Rezolutnie wsunęła swoją dłoń w jego, mówiąc:

- Nigdy dotąd nie szliśmy przez las, trzymając się za rękę. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Las wygląda tak tajemniczo. Na pewno zamieszkują go baśniowe istoty, które będą nas obserwowały, niczym intruzów przechodzących przez ich królestwo.

- To ja jestem intruzem - odparł - a ty jesteś jedną z nich. Najdroższa, nie jesteś zwykłą śmiertelniczką, jest w tobie coś z tajemnic i cudów przyrody.

- Chciałabym, aby tak było - powiedziała Gracila. - Kiedy byłam mała, pragnęłam latać jak wróżki, przemykać się pod drzewami jak chochliki i czaić w cieniu jak elfy.

- Jestem przekonany, że potrafisz robić to wszystko - zapewnił.

Mówiąc to, myślał, jak zwiewnie i eterycznie wygląda na tle pni drzew. Na jej głowę od czasu do czasu padały promienie słońca, z trudem przebijające się przez gałęzie.

Była istotą z niewidzialnego świata, w którym każda chwila przepełniona była poezją. Każde jej słowo brzmiało jak muzyka na wietrze.

Gracila spojrzała na niego i rzekła:

- Myślę o tobie, o twoim nowym ja, i teraz, kiedy zaszła w tobie taka zmiana, kocham cię jeszcze bardziej.

Poczuł, jak jej palce się zaciskają. Dla niego ideałem rajy byłoby mieć ją u swego boku i wiedzieć, jak bardzo jest mu oddana.

Wkrótce dotarli do miejsca, w którym strumień skręcał wśród drzew w stronę posiadłości Lynmouth. Ponieważ była z nim Gracila, wszystko wydawało mu się nowe i inne niż przedtem. Nie było ducha Phenice wzywającego go, by poszedł za nią. Tym razem to głos tej niewinnej dziewczyny spletał się ze śpiewem ptaków.

Szedł tą samą drogą, którą przemierzał tyle 'razy. Przez chwilę obawiał się, że powrócą bolesne wspomnienia i będzie musiał stawić czoło przeszłości. Zamiast tego po raz pierwszy, odkąd wrócił do domu, uświadomił sobie, że Phenice umarła i nie może go już więcej zranić.

Gracila wypełniła całą jego istotę. Patrząc na nią, tak młodą, świeżą, o oczach pełnych owego duchowego piękna, którego bezskutecznie szukał u innych kobiet, pojął jedno - miłość, którą go darzyła, uleczyła wszystkie jego rany.

Nie wierzył, by można je było wyleczyć, ale teraz, chociaż pozostały po nich blizny, nie miały już żadnego znaczenia.

Na wprost przed nimi Gracila ujrzała płot wytyczający granicę. W wielu miejscach zawałał się, ale wciąż tam był, i strumień, wzdłuż którego biegł, nadal płynął na terenie posiadłości Damienów. Po jego drugiej stronie widziała kwitnące rododendrony i pomyślała, że bez bocianiego gniazda też mogłaby zobaczyć królową.

Lord Damien zatrzymał się i spojrzał w górę. Ona zrobiła to samo. Zauważyła teraz coś w rodzaju platformy zbudowanej pomiędzy gałęziami wysokiego świerka.

- To bardzo wysoko! - wykrzyknęła.

- Boisz się?

Pokręciła przecząco głową.

- Wspinalam się na wyższe drzewa, ale muszę przyznać, że nie na tak proste jak to.

- Przypatrz się uważniej - polecił.

Spojrzała jeszcze raz i dostrzegła małe żelazne stopnie wiodące na sam szczyt.

- Tak wspinają się tylko leniuchy - uśmiechnęła się do niego.

- Ale ten sposób jest o wiele wygodniejszy i z całą pewnością łatwiejszy - odparł Virgil.

Puścił cugle Samsona i z kieszeni przy siodle wyjął lornetkę. Przewiesił ją sobie przez ramię.

- Pójdę pierwszy - powiedział - na wypadek, gdyby któryś ze stopni był obluzowany.

Uśmiechnęła się znowu i z trudem powstrzymał się, by nie wziąć jej w ramiona. Następnie szybko, bez najmniejszego wysiłku, wspiał się na drzewo, sprawdzając każdy szczebel najpierw dłońmi, a potem nogami, aż w końcu Gracila zobaczyła, że dotarł do platformy ukrytej wśród gałęzi.

- Wszystko w porządku - zawołał. - Nie śpiesz się. Jeśli się boisz, zejść i ci pomogę.

- Wcale się nie boję - odparła urażona.

Podciągnęła suknię z trzema sztywnymi halkami i zaczęła się wspinać. Było znacznie prościej, myślała przy tym, kiedy moda nie narzuciła jeszcze kobietom krynolin. Jednakże jako specjalistce od wspinania się na drzewa wejście na platformę poszło jej o wiele łatwiej, niż mogła przypuszczać.

Kiedy dotarła do bocianiego gniazda, lord Damien wyciągnął dłoń i pomógł jej wejść. Dotyk jego ręki zelektryzował ją. Przez chwilę nie potrafiła myśleć o niczym innym.

Potem rozejrzała się i wydała okrzyk zachwytu.

Bocianie gniazdo było większe, niż się tego spodziewała. Drewniany podest wokół pnia drzewa miał około metra

szerokości. Był solidny i mocny. Znajdowały się na nim stół i dwa taborety.

- Mogliśmy tutaj zjeść nasz obiad! - stwierdziła.

- Chciałem przebywać z tobą na słońcu - odpowiedział.

Uśmiechnęła się do niego i zerknęła w stronę ogrodów Lynmouth.

Nic dziwnego, że drugi markiz Lynmouth się denerwował. Ogrody rozciągały się tuż przed nimi i Gracila widziała taras na tyłach domu oraz trawniki, na których gromadzili się już goście.

Trochę dalej stała duża markiza, pod którą najwyraźniej podawano napoje, a bliżej nich, po drugiej stronie trawnika, znajdowała się orkiestra.

Była to orkiestra gwardii z Buckinghamshire, o której Gracila wiele słyszała. Grano walca i pod wpływem tej muzyki zapragnęła zatańczyć z Virgilem w sali balowej oświetlonej przez płonące w kandelabrach świece.

Jakby czytając jej myśli, powiedział:

- Jestem przekonany, że tańczysz bosko.

- Byłoby wspaniale móc z tobą zatańczyć - odrzekła.

Na jedną krótką chwilę ich oczy się spotkały. Potem, zmuszając się do zmiany tematu, lord Damien oznajmił:

- Zapewne ucieszy cię, że przyniosłem lornetkę. Będziesz mogła bardzo wyraźnie zobaczyć królową.

Zdjął przewieszony przez ramię przyrząd i położył go na stole.

- Zanim się zjawi królowa - odezwała się Gracila - powiem ci, kto jest kim, i będziesz mógł ocenić, jak wszyscy się postarzeliby od czasu, kiedy widziałeś ich po raz ostatni.

- Nie byliby zbyt szczęśliwi, gdyby usłyszeli, co o nich mówisz.

- To bardzo zabawne obserwować ich i wiedzieć, że nie mają o tym pojęcia - odparła.

Mówiąc to, wzięła do ręki lornetkę, ustawiła ostrość i usiadła na taboreciku.

- O, zobacz! - krzyknęła. - Tam jest Eloise D'Arcy, najładniejsza dziewczyna w hrabstwie! Spójrz na nią!

- Wolę patrzeć na ciebie - stwierdził lord Damien.

- Może rzeczywiście lepiej, byś na nią nie patrzył. Gdybyś zaczął ją podziwiać, stałabym się zazdrosna.

- Czy mogłabyś być zazdrosna z mojego powodu? Zapomniała na chwilę o lornetce i odrzekła z powagą:

- Nie sędzę, byśmy mogli być o siebie zazdrośni. To, co czujemy, jest o wiele głębsze i o wiele ważniejsze niż zwykła chęć posiadania.

- Mimo to należysz do mnie.

- Właśnie dlatego nigdy nie będę zazdrosna - zapewniła go Gracila. - Należę do ciebie całkowicie, każdą cząstką mojego jestestwa. Nie miałabym niczego do zaoferowania innemu mężczyźnie.

Stał w bezruchu. Po chwili poprosił ją zbolalym głosem:

- Zobacz, kogo jeszcze uda ci się rozpoznać. Gracila posłusznie podniosła lornetkę do oczu.

- O, jest papa z macochą! - wykrzyknęła. - Właśnie wyszli z domu. To musi oznaczać, że przyjechała królowa.

- Skąd wiesz? - zapytał lord Damien.

- Papa jest członkiem komitetu szpitala i miał razem z lordem porucznikiem oprowadzać jej królewską wysokość.

- W takim razie zaraz się spełni twoje marzenie - powiedział Virgil - i zobaczysz młodziutką, ale - jak słyszałem - bardzo zdecydowaną królową Anglii.

- Która bardzo kocha swojego przystojnego męża - dokończyła Gracila.

- Biedny człowiek! Bardzo mi go żal. Zawsze musi iść trzy kroki za swoją żoną - dodał lord Damien.



- Czy uważasz, że to poniżająca rola? - zapytała i na jej policzkach ukazały się dołeczki.

- Ależ oczywiście! - odparł. - To nienaturalne. On powinien zostać królem i władcą.

- Zgadzam się z tobą, a jednak miło pomyśleć, że są ze sobą idealnie szczęśliwi.

- Tak jak i my byśmy byli - mruknął pod nosem. Nie miała czasu, by mu odpowiedzieć, gdyż w tej właśnie chwili przez oszklone drzwi wyszli z domu królowa, książę Albert oraz markiz Lynmouth.

Nagle Gracila pomyślała, że pragnąc zobaczyć królową, postąpiła nietaktownie. Nie zastanowiła się nad tym, co może czuć Virgil, widząc człowieka, któremu odebrał żonę.

Zmieszana, szybko wtrąciła:

- Królowa wygląda pięknie! Zupełnie jak na obrazach.

- Tak, to rzeczywiście zdumiewające - zauważył z przekąsem lord Damien.

- Nie, jest ładniejsza! - ciągnęła Gracila. - I ma wspaniałą cerę! Widzę to wyraźnie. Chcesz popatrzeć?

- Nie. Wystarczą mi moje oczy, by zobaczyć to, co chcę ujrzeć. Na pewno żałujesz, że nie możesz tam być i słyszeć jej słów.

- Mogę je z łatwością odgadnąć - odparła. - Markiz przedstawia jej właśnie szeryfa i jego żonę, a w kolejce na swoją chwilę chwały czekają wszyscy dygnitarze hrabstwa.

Przesunęła trochę lornetkę i dodała:

- Jak widzę, moja macocha bawi się wspaniale. Włożyła suknię, którą kupiła sobie na mój ślub. Nie chciała zapewne, by taka kreacja się zmarnowała.

- Pomyśl, ile tracisz, nie będąc przedstawioną królowej - odezwał się Virgil.

Gracila odwróciła głowę i spojrzała na niego.

- Wiesz przecież, że wolę być z tobą. Nie oddałabym ani jednej minuty z tych pięciu godzin, nawet gdybym mogła poznać wszystkich królów i królowe świata albo nawet samego archanioła Gabriela.

Lord Damien roześmiał się i powiedział:

- Doprawdy, pochlebiasz mi.

- Mówię prawdę.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie. Nagle jakiś dziwny odgłos przyciągnął uwagę Gracila. Dźwięk dochodził z dołu i pomyślała, że pewnie Samson zaplątał lejce w krzakach. Potem zobaczyła człowieka, który przechodził przez płot, nieco na prawo od nich.

Mężczyzna był wysoki i przez chwilę Gracila sądziła, że to gajowy, chociaż - jak doskonale wiedziała - większość ludzi pracujących niegdyś w posiadłości lorda Damiena została zwolniona. Miał pospolite rysy twarzy, lecz ubrany był jak dżentelmen i niósł w ręku cylinder. Udało mu się przedostać przez płot, jeszcze bardziej go niszcząc.

- Kto to jest? - zapytał lord Damien przyciszonym głosem.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała Gracila. - W każdym razie nie jest twoim pracownikiem.

- Jedno jest pewne: nie ma zaproszenia. Gdyby je miał, wszedłby wraz z innymi gośćmi główną bramą.

Gracila obserwowała mężczyznę. Fakt, że przedzierał się przez krzaki, potwierdzał prawdziwość słów Virgila. To rzeczywiście był nieproszony gość.

Zanim wyszedł z zarośli na trawnik, włożył cylinder, wciskając go na głowę w sposób świadczący o tym, że nie był przyzwyczajony do noszenia czegoś tak eleganckiego. Następnie wsunął rękę do kieszeni na piersi, jakby chciał sprawdzić, czy coś, co tam trzymał, wciąż znajdowało się na swoim miejscu.

Robiąc to, był na wpół odwrócony do lorda Damiena i Gracili, twarzą zaś zwrócony do ludzi zebranych na trawniku.

Zerknął w dół na rzecz, którą trzymał w dłoni. Nie mogli jednak zobaczyć, co to było.

Nagle Gracili przyszła do głowy straszliwa myśl i spojrzawszy na Virgila, zrozumiała, że on myśli tak samo.

- Tylko nie... to - szepnęła. - Nie sądzisz chyba ... że on zamierza...

Nie dokończyła, widząc wymowny wyraz jego twarzy.

Obserwował mężczyznę, który teraz zaczął się przedzierać przez tłum zgromadzonych na trawniku, omijając rozmawiających, przemykając się obok innych. Powoli zbliżał się do grupy osób, które miały być przedstawione królowej.

U boku monarchini stał książę Albert, za nim wielki koniuszy i dama dworu, dalej ojciec Gracili wraz z macochą, a jeszcze za nimi - sąsiedzi.

Oderwała wzrok od mężczyzny tylko na chwilę, ale gdy spojrzała na niego ponownie, znajdował się już o wiele bliżej królowej niż poprzednio.

- A gdyby tak... - Gracili zabrakło tchu w piersi. - Musisz ją uratować!

Zupełnie jakby już wcześniej podjął decyzję, lord Damien skoczył na równe nogi i nim skończyła zdanie, zaczął schodzić z drzewa.

Znalazł się na ziemi, przeskoczył strumień i dał susa przez płot. Biegł przez tłum, podczas gdy Gracila, wstrzymując oddech, obserwowała go. Była zbyt zdenerwowana, aby podnieść do oczu lornetkę.

Mężczyzna torował sobie drogę. Wkrótce znalazł się tuż za osobami czekającymi na prezentację i wreszcie jakieś osiem metrów od samej królowej.

Przerażona, szukała wzrokiem Virgila. Zobaczyła, jak pędzi z prędkością, którą mógł osiągnąć jedynie lekkoatleta.

Odpychał ludzi na stronę, a oni spoglądali na niego z oburzeniem i niewątpliwie ślali pod jego adresem upomnienia, lecz nim do niego dotarli, on był już daleko.

Następnie Gracila spostrzegła, że mężczyzna w cylindrze sięga do wewnętrznej kieszeni. Ruch ten był tak oczywisty, iż miała ochotę krzyknąć, ostrzec królową, chociaż - jak doskonale wiedziała - z tej odległości nikt by jej nie dosłyszał.

Virgil nie zdąży!

Mężczyznę dzieliły od królowej już tylko niespełna trzy metry i Gracila patrzyła z przerażeniem, jak wyciąga rękę. Wiedziała, co ma zamiar zrobić.

Zobaczyła błysk słońca na czymś, co trzymał w dłoni. Nagle, kiedy była przekonana, że usłyszy wystrzał, a w chwilę później królowa padnie martwa, lord Damien desperacko rzucił się do przodu, jednym skokiem przemierzając kilka metrów, i podbił zamachowcowi rękę.

Wystrzał oderwał wszystkich od rozmów, nawet orkiestra przestała grać.

Dalszy ciąg walki rozegrał się na ziemi. Dopiero wtedy kilku mężczyzn, jakby przebudzonych z chwilowej drętwoty, podskoczyło ku walczącym.

Lord Damien, tak samo jak Gracila, obawiał się, że nie zdąży. Mężczyzna miał nad nim dużą przewagę, a on dodatkowo stracił mnóstwo czasu na schodzenie z drzewa i przeskakiwanie strumienia. Wyrzucał sobie, że gdyby miał choć odrobinę rozsądku, wcześniej by się zorientował, jaki cel może mieć człowiek, który wchodzi na prywatne przyjęcie po kryjomu.

Teraz, biegnąc z prędkością, jakiej nie udało mu się osiągnąć od czasu, gdy wygrał zawody w Eton, lawirował pomiędzy gośćmi, których twarze w większości wypadków były zwrócone ku królowej. Bezceremonialnie odpychał na bok każdego, kto znalazł się na jego drodze, i w końcu w

ostatniej chwili rzucił się na mężczyznę, gdy ten wymierzył już w monarchinię.

Dopiero na odgłos wystrzału otaczający ich ludzie zorientowali się, że działo się coś złego.

Potem, gdy zamachowiec próbował zbiec, walcząc zażarcie jak zwierzę w potrzasku, lord Damien powalił go na ziemię i przytrzymał, aż znalazło się przy nich dość detektywów i gwardzistów, by zapobiec jego ucieczce.

Lord Damien podniósł się i obciągnął kurtkę. Tuż przed nim stała królowa. Podczas gdy wszyscy inni na odgłos wystrzału zadrżeli z przerażenia, ona - z tak charakterystycznym dla niej męstwem - nawet nie drgnęła. Jedyne książe wystąpił do przodu, jakby chciał osłonić ją z jednej strony, a markiz zrobił to samo z drugiej. Teraz wszyscy troje patrzyli na bohatera. On skłonił się poblądłej monarchini, która opanowanym głosem przemówiła:

- Jak rozumiem, uratował mi pan życie i mogę panu tylko podziękować.

Lord Damien ponownie się skłonił. Wtedy odezwał się markiz:

- Niech mi będzie wolno przedstawić waszej wysokości mojego sąsiada, lorda Damiena, który przez kilka lat przebywał za granicą i wrócił w najważniejszym momencie.

Królowa się uśmiechnęła.

- Miło nam poznać pana, lordzie Damienie.

Zanim Virgil zdążył się odezwać, wyciągnął do niego dłoń książe Albert.

- Trudno mi wyrazić słowami moje szczere uznanie dla pańskiego czynu, ale pragnę zapewnić, jak sędzę w imieniu całego kraju, że jestem panu niewymownie wdzięczny - powiedział trochę sztywno.

- Miałem szczęście, wasza królewska wysokość, że spostrzegłem, jak ten człowiek przedziera się przez graniczny

płot do ogrodów pana markiza - odparł lord Damien, odzyskawszy w końcu głos.

- To doprawdy szczęśliwy zbieg okoliczności - rzekła królowa. - Być może, lordzie Damienie, zechciałby pan opowiedzieć bardziej szczegółowo o swym dzielnym czynie, gdy księżę i ja będziemy mieli trochę wolnego czasu?

Zerknęła na małżonka i dodała:

- Sądzę, mój drogi, że dałoby się przekonać lorda Damiena, aby w przyszłym tygodniu wziął udział w naszym przyjęciu w zamku Windsor, wydawanym z okazji wyścigów w Ascot.

Księżę się uśmiechnął.

- Jej wysokość i ja z radością pana powitamy, lordzie Damienie.

Królowa odwróciła się ku czekającym na prezentację. W tym momencie wyciągnął ku niemu dłoń markiz.

- Witaj w domu, Virgilu - powiedział. - Miło cię znowu widzieć.

Jego głos zabrzmiał donośnie, tak by usłyszeli go wszyscy zebrani. Nie było to konieczne - już sam uścisk ręki markiza świadczył, że lord Damien został z powrotem przyjęty do towarzystwa.

A skoro markiz tak wspaniałomyślnie mu wybaczył, któż odważyłby się go ignorować?

Przez chwilę lord Damien był zbyt wzruszony, by odpowiedzieć, a markiz tymczasem przyłączył się do królowej i kontynuował swoje obowiązki. Wówczas wszyscy goście zebrani na trawnikach Lynmouth, jakby przebudzeni nagle ze snu, zaczęli rozmawiać. Wszędzie słychać było pełne zdziwienia głosy.

Orkiestra znów zaczęła grać, nic jednak nie mogło zagłuszyć tych wysokich, piskliwych głosów, świadczących o podnieceniu i szoku, jakiego doznali zgromadzeni. Byli

przecież świadkami wydarzenia, które mogło się skończyć tragicznie!

Wszyscy myśleli o jednym: chcieli pogratulować bohaterowi dnia, człowiekowi, który uratował królową. Człowiekowi, który niegdyś opuścił ich w tak gwałtowny sposób, a teraz powrócił w jeszcze bardziej dramatycznym stylu. Każdy chciał uścisnąć jego dłoń, każdy chciał dołożyć swoje gratulacje do gratulacji markiza.

Ujrzawszy gości gromadzących się wokół lorda Damiena, Gracila poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. To był cud, o który się modliła, odpowiedź samego Boga na jej błagania.

Była zbyt wzruszona, by dłużej obserwować sceny rozgrywające się na trawniku. Zeszła z bocianiego gniazda i ująwszy Samsona za uzdę, poprowadziła go do domu. Z trudem docierało do niej, jak bardzo wydarzenia ostatnich kilku minut odmieniły życie Virgila, jej życie, ich wspólną przyszłość.

Zaprowadziwszy konia do stajni, udała się do domu i czekała, wiedząc, że od tej chwili wszystko potoczy się inaczej.

To nie był koniec, lecz początek.

Nie poszła do komnaty elżbietańskiej. Spacerowała korytarzami, aż dotarła na górny podest głównych schodów. Zeszła po nich i otworzywszy drzwi wejściowe, które służba zamknęła przed wyjazdem, poczuła, że te otwarte podwoje, czekające na powrót lorda Damiena, nabrały symbolicznego znaczenia.

Nie było już powodu, dla którego miałyby być sam we własnym domu, dla którego kołatka nie miałyby być podniesiona, a dzwonek nie miałby dzwonić.

Stała w drzwiach, patrząc przed siebie. Miała wrażenie, jakby świat nagle stał się promieniście złoty, przepiękny.

Czuła w sobie spokój. Czekwała. Było to tak piękne, tak wzruszające jak chwila przed świtem, kiedy cała przyroda trwa w bezruchu.

W oddali, na początku podjazdu, zauważyła jakiś ruch. Wiedziała, że - zgodnie z jej przewidywaniami - ktoś odwozi lorda Damiena do domu.

Zacząła wchodzić po schodach. Stała na ich szczycie, skąd - ukryta w cieniu - mogła zobaczyć go w chwili, gdy znajdzie się w środku.

Pod dom podjechał elegancki powóz. Konie zatrzymały się przed wejściem. Zobaczyła, jak z góry schodzi lokaj, by otworzyć drzwi przed lordem Damienem.

Virgil stanął z boku powozu i Gracila usłyszała, jak mówi:

- Dziękuję za przywiezienie mnie oraz za to, co mi państwo powiedzieli.

Po chwili rozpoznała głos swojej macochy:

- To było dla nas wszystkich wstrząsające przeżycie. Mam nadzieję, że nie zapomni pan o swej obietnicy i zechce przyjść do nas jutro na kolację.

- Będę oczekiwał z niecierpliwością jutrzejszego wieczoru, lady Sheringham - odrzekł lord Damien.

Skłonił się i dodał:

- Do widzenia, milordzie.

- A więc do jutra, Virgilu - Gracila usłyszała głos ojca. - Teraz, kiedy zamieszkaż w Barons' Hall, wszystko będzie jak za dawnych dobrych czasów.

- Dziękuję raz jeszcze - odparł lord Damien. Powóz odjechał, a on przez chwilę stał uprzejmie, patrząc, jak sąsiedzi się oddalają.

Gracila zaczęła schodzić po schodach. Miała zamiar iść po nich wolno, z godnością, ale nagle zaczęła biec, a on czekał na dole, uśmiechając się na jej widok.

Kiedy była na ostatnich stopniach, wyciągnął do niej rękę.



Czuła, jakby frunęła ku niemu na skrzydłach. Potem jego ramiona objęły ją i ich usta złączyły się w pocałunku, który uniósł ich oboje w górę, w bezchmurne niebo.

## ROZDZIAŁ 7

Ziarnko ryżu uderzyło lorda Damiena w policzek. Zaklął cicho pod nosem. Gracila się roześmiała.

- Zabolało! - usprawiedliwił się.

- Jak będziesz się żenił po raz drugi, zażądaj, aby przedtem ryż ugotowano - zażartowała i oboje zaczęli się śmiać.

Posypało się na nich więcej ziaren. Tym razem przemieszanych z płatkami róż.

Kiedy przejeżdżali przez bramy zamku, dzieci wręczyły im kwiaty, a wieśniacy pożegnali ich radosnymi okrzykami.

Przez cały ten czas, gdy uśmiechali się do tłumu i machali na pożegnanie, Gracila ścisnęła dłoń męża.

Gdy wioska zniknęła im z oczu, odwrócili się i spojrzeli na siebie. Ich twarze zdawały się odmienione promieniującym z nich szczęściem.

Virgil wyglądał o wiele młodziej. Zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy ujrzała go po raz pierwszy. Aż trudno było uwierzyć, że to ten sam człowiek. Zniknęło rozczarowanie, cynizm, zgorzknienie. Znowu był młody i tak oszałamiająco przystojny, że w duszy powtórzyła słowa Byrona: „Książę oczarowywał samym swym ukłonem”. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, wszystko, do czego tęskniła i o czym marzyła, spełniło się. Teraz, zaledwie pięć tygodni po ich pierwszym oficjalnym spotkaniu, stali się naprawdę mężem i żoną.

- Jak zareagował papa, kiedy poprosiłeś o moją rękę? - zapytała.

- Był zaskoczony - odrzekł. - Zdziwił się, jak mogę być pewien swoich zamiarów, skoro widzieliśmy się zaledwie kilka razy.

- I co wtedy powiedziałaś?

- Byłem wyjątkowo wymowny - zapewnił ją - snując wywód, jak to „nie znał miłości, kto od pierwszego nie kochał wejrzenia”.

Zaśmiała się, wspominając moment, kiedy to lord Damien wkroczył do salonu w zamku i został jej przedstawiony przez macochę.

Nalegał, by opuściła Barons' Hall wczesnym rankiem.

- Obawiam się, moje serce - rzekł poprzedniego wieczoru, kiedy siedzieli w bibliotece i snuli plany na przyszłość - że jutro rano może mnie odwiedzić parę osób, które pod żadnym pozorem nie mogą cię tutaj zastać.

- Nie obchodzi mnie, co powiedzieliby ludzie - odparła - nie chciałabym jednak wywoływać nowego skandalu.

- A tak niewątpliwie by się stało, gdyby wyszło na jaw, że mieszkałaś ze mną w Barons' Hall.

- Nigdy tego nie zapomnę - oświadczyła miękkiem głosem.  
- To były najwspanialsze, najcudowniejsze dni, jakie można sobie wyobrazić. No, może z jednym małym wyjątkiem.

Obydwoje wiedzieli, że mówiąc o „małym wyjątku”, miała na myśli chwilę, kiedy zmuszeni byli się pożegnać, gdyż on dla jej dobra chciał się wyrzec małżeństwa z nią. Teraz był o wiele rozsądniejszy. Namiętnie życzyli sobie dobrej nocy, po czym Gracila zgodziła się wyjechać o świcie.

- Wkrótce - zapewnił, tuląc ją w swych ramionach - nie będzie już rozstań ani pożegnań. W dzień będziemy śmiać się w promieniach słońca, a nocą będę cię trzymał w objęciach i uczył sekretów miłości.

- Nauczyłeś mnie już tak wiele.

- To, czego nauczyłaś się do tej pory, to dopiero pierwszy stopień wtajemniczenia - odparł. - Będzie jeszcze wiele, wiele innych.

- Właśnie tego pragnę - szepnęła.

Objął ją mocniej i całował, aż ściany biblioteki zawirowały im przed oczami. Nie istniało nic oprócz jego ust i ramion, dających jej poczucie bezpieczeństwa.

Następnego ranka, o piątej trzydzieści, Gracila pojechała na Cezarze do domu.

Ponieważ uznali, że będzie rozsądniej, jeśli do końca zatrzymają wszystko w tajemnicy, odprowadzał ją tylko stary Millet. Pani Hansell, która teraz potrafiła mówić już tylko o lordzie Damienie, pożegnała się z nią trochę nieprzytomnie.

Z dnia na dzień Virgil stał się bohaterem.

Wiedziała, że w całym kraju kobiety takie jak pani Hansell, czytając poranne gazety, błogosławiły go za uratowanie życia młodej królowej.

W drodze do domu Gracila była całkowicie pochłonięta myślami i bezgranicznie szczęśliwa. Dopiero wjeżdżając na podjazd, uświadomiła sobie, że czeka ją ciężka przeprawa. Ale teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Przecież jeszcze tego wieczoru miała znów zobaczyć ukochanego.

Mimo wszystko nie chciała, by nawet mała chmurka przesłoniła słońce, które dla niej zaświeciło.

Ku swej ogromnej radości zastała ojca w jadalni, samotnie spożywającego śniadanie.

- Gracilo! - wykrzyknął. - Gdzie byłaś? Zamartwiałem się o ciebie.

Podbiegła do niego, objęła go za szyję i przytuliła policzek do jego twarzy.

- Wybacz mi, papo - poprosiła. - Nie chciałam, żebyś się niepokoił. Byłam bezpieczna, a teraz wróciłam i ogromnie się cieszę, że znów cię widzę.

Nie gniewał się, wiedziała o tym od chwili, gdy ją przytulił. Za bardzo się cieszył z jej powrotu, żeby się gniewać. Zażądał jednak wyjaśnień.

- Wszystko opisałam w liście - odparła Gracila. - Zrozumiałam, że nie mogę wyjść za księcia. Mama z pewnością nie chciałaby, żebym była nieszczęśliwa, wiesz o tym.

- Dlaczego nie przyszedłaś do mnie i nie powiedziałaś wszystkiego, zamiast uciekać z domu? - zapytał hrabia.

- Bałam się. Mogłeś na przykład stwierdzić, że jest już za późno, abym zmieniła zdanie. Ucieczka wydawała mi się najłatwiejszym rozwiązaniem.

Zanim zdążył cokolwiek rzec, pocałowała go i poprosiła:

- Nie gniewaj się, papo.

- Gdzie byłaś? - zapytał ponownie, lecz Gracila wiedziała, że zmiękł.

- Przebywałam u kogoś, kto kiedyś u nas służył i kto bardzo dobrze się mną opiekował.

- U twojej niani, oczywiście! - wykrzyknął. - Dlaczego od razu o tym nie pomyślałem? Zdaniem twojej macochy pojechałaś do któregoś z naszych krewnych.

Gracila postanowiła nie wyprowadzać go z błędu. Jej niania umarła zeszłego roku. Mówiła o tym ojcu, ale najwyraźniej zapomniiał. Ułagodzenie macochy, która właśnie weszła do jadalni, mogłoby okazać się o wiele trudniejsze, ale przerwała potok jej wymówek, odzywając się cicho:

- Miałam niezbity dowód, że księżę nie kochał mnie, lecz kogoś zupełnie innego.

Oskarżenie, które hrabina miała właśnie wypowiedzieć, zamarło jej na ustach. Spojrzała w oczy Gracili, pojęła wszystko i pobladła.

- No cóż, skoro wróciłaś do domu, nie będziemy już poruszać tego tematu - oznajmiła po chwili. - Mam jednak nadzieję, że nigdy więcej, przez wzgląd na uczucia twego ojca, nie zmartwisz go tak nieodpowiedzialną eskapadą.

- Nigdy już nie ucieknę - obiecała Gracila.

Poranne gazety donosiły o czynie lorda Damiena. Ku radości Gracili nigdzie nie wspomniano o powodach jego wyjazdu z kraju i tak długiego pobytu za granicą. Wymieniano natomiast nagrody, jakie zdobył w szkole, wyróżnienia otrzymane w Oxfordzie, tworząc w ten sposób wizerunek pełnego fantazji kawalera, który uratował życie młodej królowej.

Roztoczono wokół niego romantyczną aurę i Gracila wiedziała, że gdy raz wyniesiono go na szczyty sławy, trudno byłoby go stamtąd zepchnąć.

Teraz może zacząć nowe życie - pomyślała. - Nowe życie ze mną.

Tego wieczoru podczas kolacji z trudem zdołała ukryć, jak bardzo go kocha. On również musiał panować nad sobą. Na szczęście macocha, chcąc pochwalić się nowo wykreowanym lwem salonowym, zaprosiła sporo osób pragnących go poznać. Byłoby im znacznie trudniej ukryć swoje uczucia, gdyby znajdowali się tylko w gronie rodzinnym.

Po jego wyjściu służący wręczył Gracili liścik, który dla niej zostawił Virgil i w którym prosił, by przesłała mu przez Milleta wiadomość, gdzie mogliby się spotkać.

Nie było to łatwe, ale kiedy rankiem oboje udali się na konną przejażdżkę, ich drogi oczywiście się skrzyżowały. Nawet jeśli towarzyszący Gracili stajenny nieco się zdziwił, to przecież znał ją od dziecka i mogła ufać jego dyskrecji.

Ponieważ lorda Damiena obsypywano zaproszeniami, a Gracila uchodziła nie tylko za najbardziej atrakcyjną dziewczynę, ale i za najlepszą partię w hrabstwie, mieli też podstawę oczekiwać, że będą się spotykać na przyjęciach.

Ukoronowaniem jego sukcesu towarzyskiego miało być zaproszenie na przyjęcie wydawane przez parę królewską.

W wieczór po wyścigach o Złoty Puchar Gracilę i jej rodziców również zaproszono na kolację do zamku Windsor.

Przyjęcie odbywało się w sali balowej. Po tańcu z królową lord Damien podszedł do Gracili, która zgodnie ze zwyczajem stała obok swej macochy. Na jego ukłon odpowiedziała układowym dygnięciem. Poprowadził ją na parkiet i objął w pasie.

Poczuła podniecające drżenie. Była tak blisko niego.

- Kocham cię! - wyszeptał. - Kocham cię i nie mogę dłużej znieść tej farsy. Jutro porozmawiam z twoim ojcem.

- Jeszcze za wcześnie - odrzekła bez większego przekonania.

- Pragnę cię! Chcę, żebyś była moja! Chce cię całować - mówił.

Namiętność brzmiąca w jego głosie odurzyła ją. Jej serce biło jak oszalałe. Nie pragnęła niczego więcej, jak tylko poczuć na ustach dotyk jego warg.

A teraz byli już małżeństwem i nie było potrzeby ukrywać tego, co czuli, ani udawać, że są jedynie znajomymi. Jechali przez odkryty teren, ale za chwilę mieli wjechać do kolejnej wioski, gdzie czekali ludzie pragnący zobaczyć młodą parę.

- Podoba ci się moja suknia? - spytała Gracila.

- Nie mogłem oderwać wzroku od twojej twarzy. Myślałem, że nie jesteś istotą ludzką, lecz jakąś nimfą leśną albo i samą Afrodytą.

- Nigdy nie miałam tak wysokich aspiracji - uśmiechnęła się Gracila.

- Dobrze - odparł - w takim razie gwiazdką, moją gwiazdką. Tylko teraz nie jesteś już poza zasięgiem ręki. Udowodnię ci to, gdy zostaniemy sami.

Pocałował jej dłoń i poczuł jej uścisk na swoich palcach.

- Och, Virgiliu... ja chyba śnię.

- Przekonam cię, że nie śnisz, a jeżeli tak, to ja śnię także.

Wzbudził w niej dziwne podniecenie, więc spróbowała zmienić temat:

- Wszyscy pytali, gdzie spędzimy miesiąc miodowy. Co im powiedziałaś?

- Pozwoliłem im myśleć, że wyjeżdżamy za granicę - odparł - bo tego się spodziewali.

Spojrzał uważnie w jej twarz.

- Czy na pewno nie jesteś rozczarowana, zostając w Barons' Hall? Wiesz, najdroższa, że zabiorę cię wszędzie, dokąd zechcesz.

- Po prostu chcę być z tobą - odrzekła Gracila - i nie ma chyba na świecie miejsca, w którym bardziej pragnęłabym spędzić mój miesiąc miodowy.

- Tak, przynajmniej tak długo, jak długo będziemy mogli być sami. A po Bożym Narodzeniu, przyrzekam ci, pojedziemy szukać słońca na południu. Jest tyle miejsc, które chciałbym ci pokazać.

Uśmiechnął się i dodał:

- Opiszę je w książce, do której napisania mnie namawiasz.

- Mam zamiar pomóc ci w tym - zapewniła - ale w tej chwili pragnę jedynie słuchać brzmienia twojego głosu, być razem z tobą, nie czując strachu i nie lękając się upływającego czasu.

Lord Damien westchnął i odprężył się całkowicie.

- Mądrze postąpiliśmy, nie mówiąc nikomu, gdzie będziemy - powiedział. - Jestem spokojny, że Millet będzie stał na straży jak anioł z ognistym mieczem i trzymał ludzi z dala od naszego edenu.

Obojga rozśmieszył ten obraz i kiedy zobaczyli Milleta czekającego na nich samotnie w bramie Barons' Hall, Gracila podbiegła do niego i pocałowała go w policzek, jak dawniej.

- Panienko! - wybąkał wzruszony. - To dla mnie... najpiękniejszy dzień w życiu.



- Dla nas także - odparła. - A wszystko dzięki tobie, Mitty. Gdybyś mnie nie przyjął, gdy zrozpaczona szukałam schronienia, nasz ślub nigdy by się nie odbył.

W oczach Miletta pojawiły się łzy. Spojrzał najpierw na nią, a potem na lorda Damiena.

- Czy panienka chce przez to powiedzieć, że poznała jego lordowską mość podczas swojego pobytu tutaj?

- Tak, Mitty, ale nikt oprócz ciebie nie powinien się o tym dowiedzieć. Ufamy ci.

- Bóg był łaskaw, panienko, bardzo łaskaw - wyszeptał starzec i zamilkł, gdyż wzruszenie odebrało mu głos.

Pani Hansell również płakała ze szczęścia, pomagając Gracili zdjąć suknię ślubną i przebrać się w najpiękniejszą z jej wieczorowych kreacji.

- Nigdy dotąd nie widziałam tak ślicznej panny młodej - oświadczyła. - Wyglądała pani jak wróżka z bajki albo jak anioł, co zstąpił z nieba. Wszystkie kobiety w kościele miały łzy w oczach!

- Bardzo podobał mi się mój ślub - wyznała Gracila - a teraz spędzę miodowy miesiąc w tym pięknym domu, który tak wiele znaczy dla lorda Damiena i dla mnie.

- Może być panienka pewna, że Mitty i ja dopilnujemy, by nikt się nie dowiedział, gdzie się państwo ukrywają - obiecała pani Hansell. - Zgodnie z rozkazami jego lordowskiej mości w domu przebywa tylko stara służba, która nie będzie państwu przeszkadzać.

- Dziękuję - odpowiedziała Gracila.

- A kiedy państwo oficjalnie powrócą do domu - ciągnęła ochmistrzyni - Millet i ja wykonamy polecenie jego lordowskiej mości i zatrudnimy tyle służby, ile będzie trzeba, by dom prezentował się równie pięknie i okazale jak w przeszłości.

Gracila wiedziała, co to oznacza: pokoje na ostatnim piętrze zaludnią się, sześciu lokajów przywdzieje liberię Damienów, a Millet będzie na każdy posiłek opróżniał rodowy skarbiec.

Myślała o tym wszystkim z radością. Czeką ją tyle wspaniałych rzeczy, lecz w tej chwili potrafiła skoncentrować się tylko na Virgilu i sobie.

Wspólna kolacja w jadalni, w której kiedyś on siadywał samotnie, podczas gdy ona spożywała posiłki w swoim pokoju, sprawiła im prawdziwą przyjemność.

Tego wieczoru stół udekorowano białymi różami. Gracila wiedziała, że Virgil wybrał te właśnie kwiaty, ponieważ ona przypomina mu różę. Światło świec, płonących w wielkich złotych kandelabrach, roziskrzało brylantowy naszyjnik, który otrzymała od niego w prezencie ślubnym, i także gwiazdy wpięte we włosy - kolejny upominek.

Gdy wręczył jej ten prezent, wykrzyknęła z radości. Gwiazdy, ułożone na niebieskim aksamicie, stanowiły szczególne przesłanie. Przypięła je do sukni ślubnej. Jej pierścionek też miał oczko z gwiazdzistym szafirem, otoczonym brylantami. Nie widziała w życiu niczego piękniejszego.

Mimo wszystko prezenty nie były istotne. Liczyło się uczucie, które ich łączyło. Nie potrzebowali słów, by wiedzieć, że sakrament małżeństwa na zawsze połączył ich dusze. Stali się jedną istotą.

Kiedy kolacja dobiegła końca, lord Damien podziękował Milletowi za kieliszek porto i, trzymając się za ręce, przeszli przez jadalnię i salon na taras.

Niebo było purpurowozłociste od zachodzącego słońca. Jezioro odbijało barwy nieba. Liście na drzewach lśniły, cienie drzew wydłużały się.

- Jakie to piękne! - wykrzyknęła Gracila. - I to wszystko należy do ciebie!

- Właśnie o tym pomyślałem - powiedział, lecz jego oczy wpatrzone były tylko w nią.

Uśmiech, jakim go obdarzyła, wydał mu się czymś najdoskonalszym na świecie. Ujął ją za rękę i poprowadził w dół, po schodach.

- Dokąd idziemy? - zapytała.

- Jak myślisz?

- Do naszego zakątka?

- Oczywiście! Gdzież indziej moglibyśmy się udać dzisiejszego wieczoru? Byłem pewien, że już nigdy go nie zobaczę, może nawet nigdy nie wrócę do domu.

- Zapomnij o wszystkim, co wycierpiałeś - poprosiła Gracila. - Powinniśmy byli wierzyć, że opatrność czuwa nad nami, zachowa nas dla siebie i znajdzie sposób, abyśmy byli szczęśliwi.

- Jesteś szczęśliwa? - zapytał. Roześmiała się łagodnie.

- Czy naprawdę musisz zadawać tak absurdalne pytania, wiedząc, że mam ochotę ze szczęścia śpiewać, tańczyć, pofrunąć pod niebiosa i nurkować w jeziorze?

- I ja tak się czuję - zapewnił - a jednak wciąż się boję.

- Boisz się?

- Boję się, że zostałem nie dość ukarany i nie jestem godny kogoś tak idealnego jak ty.

Z miłością przytuliła policzek do jego ramienia.

- Nagle zrobiłeś się niezwykle pokorny - zaśmiała się. - Wolę cię, gdy wzbudzasz lęk i jesteś dumny, jak w dniu, kiedy ujrzałam cię po raz pierwszy.

- Dumny? - spytał.

Potem roześmiał się i powiedział:

- Oczywiście: „z drżenia ust i czoła znać dumę, której poskromić nie zdoła”. Czy wciąż tak wyglądam?

- Nie. Zresztą szybko się zorientowałam, że to tylko poza... fasada, i odkryłam „twego tajemnego ducha”.

- Człowiek sam jest tajemnym, wolnym duchem - mruknął lord Damien i dodał: - Zostałem oszukany! Jestem spętany, schwytany, zaczarowany i uwięziony na zawsze.

- Tego właśnie pragnę - oświadczyła Gracila - lecz cóż pocznę, jeśli kiedyś znudzisz się mną? Gdy zechcesz powrócić tam, gdzie „kobiety, wino, śmiech, śpiewanie”?

- Zapomniałaś o następnym wersie - odrzekł: - „Jutro sodowa woda i kazanie”.

Omali nie zakrztusiła się ze śmiechu.

- To proste. Wątpię, byś słuchał moich kazań.

- Nigdy! - oznajmił stanowczo.

Dotarli do strumienia. Drzewa ocieniały go tak, że jego wody srebrzyły się, zamiast tonąć w purpurze. Wydawał się pełen tajemnic.

Stanęli pod drzewem, pod którym spotkali się po raz pierwszy. Gracila czekała, by wziął ją w ramiona, on jednak powiedział:

- Tu, spojrzawszy ku górze, znalazłem moją małą gwiazdkę i odmieniło się me życie.

- Załóżmy - odezwała się cichym głosem Gracila - że przejechałbyś obok tego drzewa, a ja nie miałabym dość odwagi, by cię zatrzymać.

- Zawróciłbym, bo takie było nasze przeznaczenie, i jestem mu nieskończenie wdzięczny za tak wiele szczęścia.

Spojrzał na nią i delikatnie przytulił. Uniosła ku niemu wzrok. Jej usta zapraszały do pocałunku, ale przez chwilę patrzył tylko w jej oczy.

- Jesteś taka piękna, czysta, niczym nie skażona! Mogę jedynie powtórzyć, że nie jestem cię godny.

- Kocham cię! Kochamy się i należę do ciebie.

Jej oczy promieniały, a w głosie zabrzmiała tkliwa nuta.

Usta lorda Damiena odszukały usta Gracili. Całował ją z czcią, jak rycerz gotów oddać się jej w służbę. Potem, czując miękkość warg i drżenie jej ciała, zaczął całować ją namiętnie. W oczach zapalił mu się ogień, który szybko ogarnął go całego.

- Kocham cię! Moja ukochana, moja najdroższa gwiazdka, moje serce, moja duszo, moja żono!

Całował ją, aż zaczęła drzeć od uczuć, których istnienia nawet nie przeczuwała; od doznań, które przeszły jej oczekiwania, jej marzenia.

Całował jej szyję, ramiona i znowu usta.

- Och, Virgil... Virgil - szeptała, jakby jego imię było dla niej talizmanem.

Nagle spostrzegli, że stoją w ciemnościach wśród drzew i spojrzawszy w górę, zobaczyli wschodzące gwiazdy. Słońce już zaszło, pozostawiając słabą poświatę.

- Jesteś „odziana w blask tysiąca gwiazd” - zacytował lord Damien głębokim głosem - „lecz teraz wracajmy”.

- Wrócimy razem, i to właśnie jest takie cudowne! Po czym wzięła głęboki oddech i zawołała:

- Och, Virgil, gdybyś wiedział, jak straszliwie... bałam się samotnego powrotu do domu... gdy skończy się te pięć godzin, które mi ofiarowałeś.

- A teraz, zamiast pięciu godzin, dam ci pięć miliardów lat, ale nawet to nie wystarczy, by wyrazić, jak bardzo cię kocham i ile dla mnie znaczysz.

- Jak myślisz, czy po śmierci też się odnajdziemy, tak jak odnaleźliśmy się teraz?

- Nigdy nie będziesz mogła mnie opuścić - zapewnił ją. - Nasze dusze się połączyły. Jestem o tym przekonany.

- Właśnie w to pragnę... wierzyć.

- Mam całe życie, by ci to udowodnić.

Rozmawiając wracali. Doszli do trawnika przed domem. Przez chwilę stali, patrząc na Baron's Hall. W niektórych oknach paliły się światła, a w blasku księżyca dach wydawał się srebrny.

- Nasz dom! - powiedziała Gracila cicho.

- Dzięki tobie będzie dla mnie prawdziwym domem, jakiego nie miałem od lat - wyszeptał lord Damien - a być może pewnego dnia stanie się także domem dla naszych dzieci.

- One nigdy nie będą... samotne, jak ty byłeś - obiecała Gracila.

- I jak ty, ukochana.

- Byłabym o wiele bardziej samotna, gdybym nie czytała o... tobie w książkach i nie... marzyła o tobie w moich snach.

- Czy rzeczywistość nie rozczarowała cię? Spojrzała na niego i zobaczył uśmiech na jej twarzy.

- Jak mogłabym być tobą rozczarowana?! Kocham cię... całym sercem, z każdą chwilą coraz mocniej.

- Moja kochana! Moja najdroższa! Lord Damien znów ją pocałował.

Oboje pojęli, że pragną zbliżyć się do siebie jeszcze bardziej, i szybkim krokiem ruszyli w stronę domu.

Czekały na nich otwarte drzwi salonu, ale w hallu nie zastali nikogo. Objęci weszli po schodach na górę.

Tej nocy Gracila miała spać w apartamencie lordowskim, tuż obok pokoju męża. Kiedy doszli na miejsce, odniosła wrażenie, jakby wszystkie kobiety, które sypiały tu przed nią, dawały jej swoje błogosławieństwo i życzyły szczęścia.

Jak Gracila przeczuwała, pani Hansell nie czekała na nią. Nie było także Dawkinsa, usługującego zazwyczaj swemu panu.

Lord Damien, który wszedł z żoną do jej pokoju, patrzył teraz na nią w świetle świec ustawionych przy łóżku.

Przez chwilę oboje stali w bezruchu. Potem Virgil zapytał:

- Kochasz mnie?

- Kocham cię... tak bardzo cię kocham! Mówiąc to, podeszła do niego i objęła go za szyję.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował, lecz ten pocałunek w niczym nie przypominał poprzednich. Instynktownie wiedziała, że zapłonął w nim ogień pożądania, oczyszczony przez wzniosłe uczucia wypełniające jego duszę.

Zdjął z jej szyi naszyjnik i wyjął gwiazdy z włosów. Ich usta wciąż były złączone w pocałunku, gdy na plecach poczuła dotyk jego palców, rozpinających jej suknię, która po chwili zsunęła się na ziemię. W ślad za nią poszły halki.

Całując jej szyję, ramiona, piersi, wyszeptał:

- Moja gwiazda, moja bezcenna gwiazdka. Twoja miłość uniesie nas w górę, ku niebiosom, z których przybyłaś. Uwielbiam cię i czczę, ale jednocześnie pragnę cię.

- Ja... także cię pragnę - próbowała powiedzieć Gracila.

Ale nie sposób było słowami opisać miłości, która niczym gwiezdny wiatr uniosła ich do nieba rozkoszy.